Rok VIII. Nr. 4.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO à PAULO.

Październik.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.
1902.

TREŚĆ ZESZYTU.

SPRAWOZDANIE

X. Boscat, prokuratora XX. Misyonarzy w Shang-Hai

o prześladowaniu Bokserów i klęskach, doznanych przez nasze misye w Chinach w r. 1900.

(Ciąg dalszy).

Pekin.

Pośród tych zwalisk musi być pogrzebany niejeden z chrześcijan, a na ich czele drogi i czcigodny X. Garrigues, o którym nieraz słyszałem, jak go nazywano „świętym księdzem Garrigues, świętym ojcem Garrigues“, prawdziwy wzór prostoty i w ten sposób prawdziwy syn św. Wincentego. Mówią, że podczas wybuchu pożaru Tong-Tangu wyprowadzili go stamtąd chrześcijanie, lecz został zamordowany w niedalekiej odległości od swego kościoła.

Byłoto we środę 13 czerwca 1900, w wigilię Bożego Ciała i także w wigilię pożaru Nan-Tangu. Tong-Tang także był zaszczycony pierwszymi pociskami Bokserów, był to najpiękniejszy pomnik katolicki w Pekinie.

Z pasterzem w Tong-Tang poległa jako ofiara wielka cząstka trzody; mianowicie cztery Jozefitki, czyli zakonnice krajowe św. Józefa, które widziałem na 20 dni przedtem w ich szkole w Tong-Tang, wielka liczba dzieci, wszyscy chrześcijanie i chrześcijanki niezdolne do ucieczki.

Była to druga wielka ofiara, jaką złożyło Zbawicielowi naszemu młode Zgromadzenie Córek św. Józefa. Już na kilka dni przedtem, prawdopodobnie w drodze z Pao-Ting-Fu do Pekinu przeszli Bokserzy przez Kao-Kia-Tchoang, piękną

osadę chrześcijan, złożoną z około 300 wiernych, położoną mniej więcej 300 ly'ów[1]) na południowy zachód od Pekinu a na 150 ly'ów na wschód od Tientsin i na zachód od Pao-Ting-Fu a na kilka tylko kilometrów od podprefektury Pa-Tchon, od której zależy w sprawach cywilnych.

Byłato stolica poddystryktu Nan-Tangu, miała pod sobą całe południe od Chown-Tien-Fu (prefektura Pekinu) i zarządzała około 2500 chrześcjianami. Był tam piękny kościół z siedzibą Misyonarzy, ochronka dla dziewcząt, szkoły dla dziewcząt i katechumenat dla kobiet. Różne te zakłady dla dziewcząt i kobiet miały pod sobą siostry Józefitki.

Za zbliżeniem się Bokserów powierzono na prędce dzieci ochronki rodzicom chrześciańskim w okolicy; dobra połowa chrześcijan uciekła, lecz 4 siostry Jozefitki wzbraniały się uciekać. Z niemi pozostała dość wielka liczba dziewcząt i kobiet, nie chcących się odłączyć od swych mistrzyń.

Cóż się stało po przybyciu Bokserów? Nikt tego nie powiedział. Wiemy tylko, że siostry zostały zamordowane a z niemi wszystkie chrześcijanki, albo katechumenki, które się nie chciały od nich odłączyć, nadto wszyscy chrześcijanie, którzy nie chcieli uciekać a z niemi sieroty im powierzone.

Po Tong-Tang i Nan-Tung przychodzi Si-Tang (kościół zachodni). Si-Tang wybudował w r. 1723 X. Pedrini, kapłan Zgr. Misyi i podarował go Propagandzie. Był to więc kościół i siedziba Misyonarzy z Propagandy. Był poświęcony Matce Boskiej Bolesnej. Dziś nie pozostało z niego nic, zniszczyli go doszczętnie Bokserzy, było to 15 czerwca 1900.

Pasterz tego kościoła, X. Doré, widząc zbliżającą się burzę, zapytał X. Biskupa Favier, czy może czekać męczeństwa na swym posterunku? Odebrał odpowiedź twierdzącą od niego.

Czy został zamordowany w pokoju, czy w kościele, czy umarł uduszony w płomieniach, tego nie dowiemy się zapewne nigdy.

---

[1]) Chiński ly znaczy 500—600 metrów.

Opowiadano mi nieraz, że po śmierci zebrano członki albo szczątki członków jeszcze drgających, na głównym ołtarzu kościoła Si-Tang i że je tam spalono w miejscu, gdzie codziennie odprawiał mszę świętą. *Corona aurea super caput ejus.*

Cha-La-Eul (cmentarze uropejskie).

Przy wyjściu z Pekinu tuż za bramą Pin-tsen-men na pół godziny mniej więcej na zachód od samego Pé-tang, odnajdujemy raczej rozpoznajemy Cha-la-eul.

Siostry Miłosierdzia miały tam ochronkę dla chłopców, założoną przez siostrę Bernardi, pochodzącą z wielkiej rodziny Eugeniusza III.

Zwiedziłem ją 4 marca 1900. Zakład jest podzielony na dwie oddzielne części: w jednej są małe sieroty, w drugiej starsi. Mali byli pod opieką sióstr aż do pierwszej komunii św. włącznie a odtąd przechodziły pomiędzy większe w ręce braci Marystów. Ci kończyli ich kształcenie i nauczali jakiegoś rzemiosła. Miałem w ręku i podziwiałem prace, jakie wykonywali. W całym domu było pełno życia i wesela, gdym przyszedł go niedawno zwiedzać. Któżby był mógł powiedzieć wówczas, że za 40 kilka dni wszystkie dzieci miały być zamordowane, zakład cały obrócony w perzynę.

Z młodemi temi ofiarami poległ także jeden brat Marysta, krajowiec, brat Cadon, który zaraz od pierwszego dnia niebezpieczeństwa okazał wielką odwagę i który za żadną cenę nie chciał opuścić drogich swych sierót. Brat Józef, dyrektor szkoły i warsztatów dorosłych sierót, miał także w miesiąc później złączyć się w niebie ze swymi uczniami męczennikami. Pierwsza mina, która wybuchła w Jen-tsan-tang 18 lipca, ukoronowała wreszcie brata-dyrektora z Cha-la; mina ta zabiła 25 osób, do których zalicza się i brat Józef, a zraniła 28 innych.

Nigdy nie dowiemy się o zgrozach, jakich się musieli dopuszczać Bokserzy w ochronce w Cha-la. Zajadłość ich nasycała się do woli i znęcała się nad niewinnymi, nad

dziećmi bezbronnemi. Rzeź i pożar w Cha-la rozpoczęły się 17 czerwca około godziny 10 rano.

Kilka dni po uwolnieniu Pekinu, mniej więcej w dwa miesiące po rzezi w Cha-La-Eul, znaleźli pierwsi, zwiedzający ochronkę, same tylko ruiny, a w niektórych miejscach stosy różnych przedmiotów, rozkładających się. Koło studni zwłaszcza, zaduch był nie do wytrzymania, rzucano tam trupa na trupa prawie aż do powierzchni.

Widok jaki się tam przedstawiał, zwłaszcza gdy zamierzono powyciągać ze studni trupy albo różne szczątki ludzkie tamże wrzucone, był taki, że pióro wzdryga się go opisać. Niech starczy powiedzieć, że można było rozpoznać zaledwo kilkoro dzieci po warkoczach, znajdujących się czasem na niektórych czaszkach.

Za szkołą i za pracownią Braci Marystów znajdowało się, oddzielone murem na 6 stóp wysokości, miejsce, które zwiedzali wszyscy Europejczycy, przybyli do Pekinu to jest dawny cmentarz Misyonarzy, ofiarowany niegdyś Misyi w Pekinie za wstawieniem się OO. Jezuitów, przez Quang-lie, jednego z ostatnich cesarzy dynastyi Ming.

Pierwszy grób, czyli pierwsze mauzoleum, w stylu chińskim, był O. Mateusza Ricci, założyciela Misyi Towarzystwa Jezusowego w Chinach. Następnie przychodziły zawsze o stylu chińskim groby OO. Longobardi, Adama Schall, Perbiest itd.

Pochowaliśmy tam także kilku naszych konfratrów portugalskich X. Perreyra, X. Ribero, Mgr. Pirès, zmarłych pierwszy w r. 1824, drugi w 1826 a ostatni w 1838.

Na kilka kroków na południe od tego cmentarza, z drugiej strony drogi, prowadzącej do Cha-La, miała misya katolicka inny jeszcze cmentarz. Kupił i oddał go Propagandzie nasz konfrater X. Pedrini, tak jak to zrobił ze Si-Tang i stąd też nazwano cmentarz ten „cmentarzem Propagandy. X. Pedrini został tam pochowany w r. 1746, koszta zaś pogrzebu poniósł sam cesarz Kien-Long.

Na tymto cmentarzu chowano dotąd kapłanów krajowców misyi pekińskiej, kapłanów zaś krajowców ze Zgro-

madzenia XX. Misyonarzy chowano zawsze w Tchen-fu-sen, cmentarzu francuskim, o którym wnet będzie mowa.

W sąsiedztwie z cmentarzem Propagandy na zachód, rozciągał się obszerny teren, zakupiony przez SS. Miłosierdzia. Nad dwoma temi własnościami, przedzielonemi tylko średnim murem, czuwał jeden tylko stróż, którego chatka znajdowała się na terenie Sióstr, lecz była połączona z cmentarzem Propagandy małą bramą w średnim murze. Własność sióstr dzieliła się na dwie części: jedna przylegała do drogi z Cha-la do Tchen-fu-sen. była ogrodem warzywnym, uprawianym przez stróża, druga była cmentarzem SS. Miłosierdzia, zmarłych od r. 1862 i ta część była dla nas drogą relikwią, lubo data jej względnie niedawna.

Na trzech tych cmentarzach: Cha-la, Propagandy i Sióstr zostały wszystkie pomniki zniszczone i zburzone doszczętnie. Kości spalono, popioły rozrzucono na wiatr i t. d. Trudno pojąć wściekłość, z jaką Bokserzy chcieli znieważyć i zagładzić wszystkie te pobożne pamiątki.

Oprócz tych był inny cmentarz prawie tak samo stary i nie mniej sławny, odległy na dobrą milę na zachód od Cha-la, u stóp gór. Był to cmentarz Tcheng-fu-sen, inaczej cmentarz francuski, darowany przez cesarza Kang-hi Misyi katolickiej.

Tam spoczywały od przeszło pół wieków czcigodne szczątki znaczej liczby Misyonarzy Tow. Jez. OO.: Gerbillon, Bouvet, Parenin, de Mailla, Gaubil, Burgeois, Amiot i inni. Następnie przychodzili nasi konfratrzy X. Hanna 1797; X. Raux 1801; Karol Paris, brat 1804; X. Ghislain 1812 i wszyscy inni zmarli od 1860 r.

Pomiędzy wszystkimi tymi grobami można było łatwo zauważyć, że budowa niektórych z nich była szczególniejsza od innych; grobami tymi są na zachód groby naszych wikaryuszów apostolskich Pekinu. Mgr. Mouly 1868; Mgr. Delaplese 1884; Mgr. Tagliabue 1890; Mgr. Sarthou 1899; na wschód grób Alberyka de Damas, oficera francuskiego

i pomnik innych oficerów i żołnierzy francuskich, zmarłych w ciągu ekspedycyi r. 1860.

Cmentarz był bardzo pobożnie i pilnie utrzymywany; był to niejako cel pielgrzymki wszystkich Europejczyków, przybywających do Pekinu. I tu dotarła zaślepiona i okrutna zajadłość Bokserów. Nie pozostał ani ślad z grobów, trumien lub napisów. Wszystko przedstawia się jako stos ruin wszelkiego rodzaju a z wielką zaledwo trudnością dopatrzeć się można pośród tego, szczątków kości ludzkich, wszystko przekopano, znieważono, spalono albo zwapniono a później rozrzucono na wiatr.

W ten sposób obchodzono się w Pekinie i okolicy z wszystkimi cmentarzami europejskimi.

W ogóle pojąć nie można, jak w stolicy cesarstwa niebieskiego mogła zajadłość Bokserów objawić się tak gwałtownie i zapalczywie względem wszystkich Europejczyków w ogóle, a względem misyonarzy i pomników chrześcijańskich katolickich w szczególności.

Dystrykty wikaryatu pekińskiego.

Ileż jeszcze ruin poza terytoryum Pekinu (prefektura Chun-tien-fu) i w różnych dystryktach misyi (Tche-ly północnego)!

W dystrykcie Suen-Hoa-Fu, który ze wszystkich najwięcej wycierpiał, zrabowano, spalono i zniszczono wszystkie główne siedziby i kościoły; wszystko prawie trzeba odbudować. Nasi Misyonarze wiele tam wycierpieli a zwłaszcza X. Catheline bardzo jest osłabiony i słuszna jest obawa, czy będzie jeszcze mógł misye odprawiać. Obecnie odpoczywa w Tche-Kiang, na wyspie Tchu-san, w towarzystwie kleryka Gaertner. Inny Misyonarz z Suen-hoa-fu, młody konfrater krajowiec, pełen cnót, X. Piotr Tong, dopiero co zmarł w drodze do gór.

Mówią, że w samym dystrykcie Suen-hoa-fu zamordowano 5000 chrześcijan.

O dystrykcie King-Tong, na wschód od Pekinu, trzeba prawie to samo powiedzieć, co o Suen-hoa-fu: kościoły, siedziby zniszczone, osady chrześcijan, zrabowane a często w niwecz obrócone.

W tym to dystrykcie w Pao-ti-shien bronili się przeszło miesiąc X. Déhus i czterech innych księży krajowców z blisko 10.000 chrześcijan, źle albo też wcale nie uzbrojonymi, z jednej strony przed mnóstwem Bokserów a z drugiej przed wojskiem chińskiem regularnem, pod wodzą jenerała Ma. W chwili, gdy wszystko zdawało się być straconem i gdy się tylko śmierci i rzezi spodziewano, nastąpiło uwolnienie.

Na początku drugiego wyruszenia na Pekin i po wzięciu Pe-tsangu, przybyli niespodzianie sprzymierzeni, rozprószyli Bokserów i wojsko, niszczące Pao-ti-shien. X. Déhus, jego księża i nieliczne wojsko chrześcijan ocaleli.

W święto Matki Boskiej Śnieżnej a w wigilią Przemienienia Pańskiego 5 sierpnia, około 6 godziny wieczorem, przyszedł X. Déhus do Tientsin z podziwieniem dla wszystkich. Miano go za umarłego od dawna i od dwóch tygodni urzędowo niejako doniesiono mi o jego śmierci.

Tientsin.

Również i w dystrykcie Tientsin nie zliczy się szkód. Najpierw było okropne oblężenie Tientsinu, a zwłaszcza dzielnicy francuskiej, oddzielonej od przedmieści na wschód od miasta chińskiego tylko przez Pe-ho.

Dzielnica francuska i całe miasto europejskie Tientsinu leżały na prawym brzegu rzeki.

Miasto chińskie rozciąga się, jak daleko tylko oko sięga po obu brzegach Pe-ho i kanału cesarskiego i zamyka niejako dzielnice europejskie. W r. 1900, w chwili oblężenia, były w Tientsin tylko trzy dzielnice europejskie, dzielnica francuska, angielska i niemiecka. Wszystkie trzy rozciągały się na prawym brzegu Pe-ho.

Po uwolnieniu Tientsinu powstały inne dzielnice; na prawym brzegu rozciąga się dzielnica amerykańska za an-

gielską, a dzielnica japońska pomiędzy chińskiem miastem murowanem a dzielnicą francuską. Na lewym brzegu jest dzielnica austryacka, włoska i belgijska. Naprzeciw dzielnicy francuskiej zamierzają, pomimo licznych przeszkód, Rosyanie założyć swoją dzielnicę. W ten sposób i brzeg lewy i prawy Pe-ho będzie w przyszłości w ręku Europejczyków. Z tego wynika, że na wypadek nowego powstania Bokserów i nowego oblężenia miasto europejskie będzie obszerniejsze i mniej opustoszałe niż w zeszłym roku i więcej będzie się mogło opierać zaciekłości i przemocy napastników.

Murowane miasto chińskie i jego forty leżą na prawym brzegu Pe-ho i kanału cesarskiego, w olbrzymim kącie, utworzonym przez ujście kanału do Pe-ho.

W kącie przyległym, utworzonym przez kanał cesarski i Pe-ho, znajduje się Quang-heu-lo (Najśw. M. Panna Zwycięska). Kościół ten, zbudowany przez X. Chevrier, kapłana Zgr. Misyi, spalony i zniszczony po raz pierwszy w r. 1870, został odbudowany w r. 1897, dzięki staraniom Mgr. Favier i możnej protekcyi P. Gérard, ambasadora francuskiego w Pekinie. Ceremonii poświęcenia odbudowanego kościoła dokonano z największą uroczystością w obecności P. Gérard i powag chińskich 21 czerwca 1897 r., ku wielkiemu oburzeniu malkontentów.

Spalono i zniszczono go doszczętnie w nocy z 15 na 16 czerwca 1900.

Pożarowi i wysiłkom burzycieli oparła się tylko wieża Quang-heu-lo r. 1870 i 1900 i zdaje się rozkazywać lasowi masztów okrętowych, rozciągającemu się przed nią na Pe-ho i kanale cesarskim. Ona tam stoi, jakby rękawica rzucona wściekłości podpalaczy z r. 1870 i Bokserów z 1900, a równocześnie jako zadatek przyszłego zwycięstwa Maryi, której kościół był poświęcony.

Podczas strasznego oblężenia Tientsinu zeszłego roku, był cały lewy brzeg Pe-ho zasypany niezmierną masą piasku, powiedzieć można, prawdziwemi górami, za któremi Bokserowie i regularni bez wszelkiego niebezpieczeństwa strzelali

na istniejące już dzielnice europejskie, zwłaszcza na francuską a w szczególności na nasz kościół św. Ludwika i szpital św. Józefa, przepełniony umierającymi i rannymi. Nasza prokuratorya i dom Sióstr były literalnie zapełnione umarłymi, umierającymi, rannymi i chrześcijanami krajowcami, przybyłymi z wszystkich stron i szukającymi schronienia w Tientsin.

Czyż mogło w podobnych warunkach europejskie miasto Tientsin, tak narażone i niedostatecznie bronione, opierać i bronić się aż do 14 lipca?... A wtenczas, jakżeż mogli sprzymierzeni, wycieńczeni i prawie bez amunicyi nakazać milczenie twierdzom chińskim, znajdującym się tuż przy i za kościołem Matki Boskiej Zwycięskiej, a które już od 20 dni roznosiły śmierć wśród Europejczyków? To nie tak łatwo wytłómaczyć.

Jeżelibyśmy wierzyli ogólnej opinii, to przedewszystkiem męstwu żołnierzy francuskich trzeba zawdzięczać, że dworzec północny nie wpadł w ręce Chińczyków i że złamano opór miasta chińskiego, twierdz i wielkiej armii wojsk regularnych. Zajęto więc murowane miasto chińskie, twierdze wzięto szturmem i odtąd dzielnice były w spokoju.

Lecz cóż się stało z naszymi księżmi, chrześcijanami i kościołami w reszcie prefektury? Dwaj księża krajowcy, jeden z nich nasz konfrater X. Piotr Nié, a drugi świecki X. Tomasz Pao, zostali zamordowani i spaleni przez Bokserów w Yen-Chan, dawnem polu prac apostolskich X. Chevrier, pierwszego apostoła tej okolicy.

Z dwoma tymi księżmi przelały także swą krew trzy zakonnice św. Józefa.

Z niemi zrosiło swą krwią wielu chrześcijan ziemię, na której X. Chevrier i X. Ou byli pierwszymi siewcami. Dałby Bóg, żeby ziarna te powschodziły i żeby ziemia ta wydała owoc trzydziestokrotny, sześćdziesiąty i setny, jak mówi ewangelia.

Pao-Ting-Fu.

W dystrykcie tym Bokserowie byli silniejsi aniżeli gdziekolwiek indziej. Tutaj to przybyli naczelnicy Bokserów z Chan-

tong i szeregowali swoich partyzantów. Przez cały marzec i kwiecień r. 1900 gromadzili się w pagodach i oddawali wszelkiego rodzaju ćwiczeniom gimnastycznym. Ubrani byli w pewien czerwony turban, opasani długą szarfą tegoż koloru.

Pierwszy popłoch nastał 20 kwietnia. Dziesięć tysięcy Bokserów obległo Kian-kia-tchoang, na 50 ly na południe od Pao-ting-fu, lecz z większą stratą niż zyskiem. Rozwściekleni powracają, a 13 maja dowiadujemy się z boleścią, pisze X. Dumond, misyonarz, że we wiosce Kao-lo, 80 ly na północ od Pao-ting, 50 czy 60 chrześcijan zostało zamordowanych przez Bokserów, z prawdziwem wyrafinowanem okrucieństwem, spalono trzy wsie chrześcijańskie. W pierwszych dniach czerwca zamordowano jeszcze około 50 innych chrześcijan w wioskach około Tong-lu. W różnym czasie i w różnych miejscach palono wsie i mordowano chrześcijan.

Chrześcijanie nasi, nie widząc nigdzie dla siebie bezpieczeństwa, postanowili zgromadzić się razem, aby módz lepiej oprzeć się natarciom Bokserów i obronić się tem skuteczniej.

Jedni, z północy od Pao-ting, schronili się w Pekinie, inni w części południowej zamknęli się w Tong-lu, wielkiem mieście chrześcijańskiem, otoczonem wałem. Z Paoting i z okolicy schronili się w Ngan-kia-tchoang.

Misyonarze nie odłączyli się od swych chrześcijan, lecz zamknęli się z nimi, jedni w Tong-lu, drudzy w Ngan-kia-tchoang.

Jak tylko misyonarze, idący za swymi chrześcijanami opuścili nasz kościół w Pao-ting-fu, kazali go zaraz mandaryni zniszczyć i zburzyć; na jego miejscu wybudowali wielki dom chiński, przeznaczony na trybunał.

Rezydencyi, przyległej do kościoła, nie tknięto wcale a misyonarze odnaleźli ją w październiku następnego roku w tym stanie, w jakim ją pozostawili.

Obrona kilku miejsc chrześcijańskich, gdzie się schroniono, a zwłaszcza Tong-lu, była nadzwyczajna, tak dalece, że budziła podziw generała Bailloud, bohatera naszego korpusu expedycyjnego w Chinach.

Dzięki wałom w Ngan-kia-tchoang, Tong-lu i Su-ko-tchoang i dzięki męstwu chrześcijan, wszyscy księża z dystryktu i około 10.000 chrześcijan mogli uniknąć rzezi i wspólnej zagłady.

U nowych chrześcijan było bardzo mało apostazyi, a zapał katechumenów nie osłabł wcale tego roku; za drugiem mojem przejściem przez Pao-ting-fu ochrzcili 25 maja XX. Giron i Quang (Paweł) przeszło 150 katechumenów.

Lecz podczas gdy chrześcijanie, zamknięci w Tong-lu, Ngan-kia-tchoang i Su-ku-tchoang, bronili siebie, swych księży i swoje kościoły, małe chrześcijańskie osady były wystawione na wściekłość ognia i miecza, kilku chrześcijan, którzy nie mogli albo nie chcieli się bronić, zamordowano bez litości.

Z pięknej naszej misyi w północnym Tche-ly, zachowały się do połowy z wielkich budynków tylko Pé-tang i Jen-tsen-tang w Pekinie; w Tientsin prokuratorya, kościół św. Ludwika i szpital św. Józefa.

Piękne Zgromadzenie św. Józefa (Józefitki), z trudem założone przez Mgr. Delaplave, który przed 5 czy 6 laty obchodził srebrny jubileusz, służy wszędzie za wzór prawdziwej pobożności. Niejednokrotnie podziwiałem skromność, prostotę i odwagę dobrych tych córek św. Józefa. Jedenaście z nich przelało zeszłego roku krew za Pana Jezusa. Oby krew ta była źródłem zmartwychwstania dla całej Misyi, zniszczonej w Pekinie.

Misyonarze przelali także krew, a niektórzy z nich umarli jak dobry Pasterz za swe owieczki. Takim jest X. d'Addosio z Nan-Tang; X. Garrigues, Natanael Misyi w Tong-tang; X. Doré, dziecko Paryża w Si-tang; dobry i zacny X. Chavanne w Pé-tang; XX. Nié (Piotr) i Pao (Tomasz) w Jen-chan.

Zgromadzenie Braci Marystów dało także P. Bogu w Chinach pierwociny swych ofiar. Powiedzieliśmy, jak mina zabiła 18 lipca w Jen-tsen-tang brata Józefa, dyrektora w Cha-la. Czcigodny brat Juliusz Andrzej, wizytator, nie ustępował nikomu w heroizmie. W wigilię uwolnienia, 12 sierpnia o godz.

6 rano wybuchła inna mina w Jen-tsen-tang i zabiła około stu osób, z których przeszło 50 było sierotami. Żałośne głosy odzywały się z różnych stron na miejscu walki.

Gdy się dym cośkolwiek rozprószył, spostrzeżono kobietę, zasypaną zwaliskami prawie zupełnie i wołającą o pomoc, nikt nie miał odwagi jej bronić, a nawet podobno jej mąż bał się podjąć tego. Tymczasem brat Juliusz usłyszał z Pe-tang, gdzie odprawiał dziękczynienie po Komunii św., hałas i pobiegł na miejsce złowrogie, zobaczył biedną kobietę wzywającą pomocy i usiłującą nadaremnie wydostać się z pod przygniatających ją ruin. Rzucił się na ziemię i czołgał się po ziemi aż do nieszczęśliwej i ciągle wołającej kobiety; w chwili gdy się zbliżał do niej, kula ugodziła w bohatera oswobodziciela, przeszywa piersi i wychodzi z tyłu pod lewą rękę. Płuca były przebite, a może i serce dotknięte. Słychać jak ta ofiara miłości z trudem tylko wymawia 5 czy 6 pierwszych słów aktu skruchy, a później, jak gdyby akt ten był zbyteczny, milknie głos a całe ciało omdlewa. Pędzą do niego, przenoszą go do Pé-tang, skąd przyszedł; dusza jego poszła do nieba, aby dokończyć dziękczynienie zaledwo przerwane, a mające teraz trwać na wieki. Tak umarł, męczennik wiary i miłości, drogi i czcigodny brat Juliusz Andrzej, wizytator Braci Marystów w prowincyi chińskiej. „Obym ja mógł tak umrzeć“, powiedział brat, który nam udzielił tych szczegółów.

Siostry Miłosierdzia doznały dziwnej obrony nieba, lecz mimoto spodobało się P. Bogu wybrać sobie z pośród nich jedną ofiarę dobrowolną, wzór łagodności, cierpliwości i dobroci, która zmarła nazajutrz po uwolnieniu — a nią była siostra Helena Małgorzata de Jaurias.

Błogosławiąc P. Bogu za opiekę, udzieloną Siostrom, zadajemy jednak sobie pytanie, dlaczego nie chciał tym razem Zbawiciel, żeby płynęła ich krew, a w takim razie jako odpowiedź przychodzą na myśl słowa papieża św. Sykstusa, powiedziane do św. Wawrzyńca, dyakona: *Non ego te desero, fili, neque derelinquo; sed majora tibi debentur pro Christo certamina.* Nie opuszczam cię synu, ani cię zostawiam, lecz cze-

kają na cię większe walki za Chrystusa. Zachowuję was na większe utarczki. Trzeba mówić: *Fiat voluntas tua.*

Do tego zastępu męczenników trzeba dodać oficera okrętu Henryka, którego nie można się nachwalić, porucznika Olivieri i innych dzielnych majtków i żołnierzy, którzy umarli heroicznie.

W końcu, gdyby się mnie kto zapytał, jak wielka była mniej więcej liczba ofiar prześladowania w Tché-ly północnym, nie odważyłbym się jeszcze odpowiedzieć. Trzeba czekać na dokładne poinformowanie się, aż misyonarze będą mogli powrócić do swych stacyj i tam udzielać św. Sakramentów. Z liczby spowiedzi rocznych wysłuchanych, będzie można mniej więcej sądzić o liczbie utraconych.

Inne wikaryaty.

Cóż teraz powiedzieć o naszej Misyi w Tchen-Ting-Fu? Z pozoru nawet po powstaniu Bokserów znajduje się w dobrym stanie; kościoły są duże i dobrze zbudowane a chrześcijanie spieszą się około wybudowania szkół i ochronek.

Mimo, że nasze główne zabudowania w Tcheng-tingfu są całe, wiele tam zniszczonego i wiele jest do naprawy. Wszystkie małe odosobnione chrześcijańskie osady zostały zniszczone, złupione i spalone. Spora liczba chrześcijan i to nie zawsze najgorliwszych (przeszło setka) poległa za św. wiarę.

W ochronce w Tchen-ting-fu pokazano mi młodą kobietę, przeszło 20 lat liczącą, dawne dziecko św. Dziecięctwa, zranioną po całej głowie i szyi strasznemi cięciami. Kilka razy zachęcano ją do apostazyi a za każdą odmową uderzano ją nożem. Ponieważ patrzałem na nią z rozczuleniem, biedne to dziecko uśmiechało się najpierw a później zapłakało.

O Misyi Jon-Ping-Gon można powiedzieć, że się narodziła i ochrzciła w próbie prześladowania i w krwi swych neofitów. Mimo to jednak, ponieważ ma bardzo mało chrześcijan (3.000 albo mniej więcej 4.000) i mało zakładów, mniej miała do cierpienia, aniżeli inne misye.

Z wszystkich naszych Misyj Tche-Kiang i Kiang-si północny ucierpiały najmniej. Pochodzi to sądzę z bliskości Shang-hai albo łatwości porozumienia się z nim. Ale i mimoto prześladowano, rabowano, znieważano a nawet mordowano i tam chrześcijan, podobnie jak gdzieindziej. Spalono i zniszczono kilka kościołów i rezydencyj drugorzędnych.

W Kiang-si wschodnim, wychodzącym zaledwie z strasznej kryzys, podczas której cały dystrykt Koan-lin-fu został zniszczony, zrabowano, spalono i zgładzono główne zabudowania, a zwłaszcza w Kin-te-tchen i Jao-tcheon.

Mimo pozornej przychylności mandarynów, niczemu tam nie darowano. Siostry Miłosierdzia schroniły się na czas, lecz też tylko siebie potrafiły ocalić. Ich ochronki, szpitale, schroniska znikły całkiem. Misya też nie ma nic i potrzeba całej gorliwości i otuchy ks. Dauverchain, aby zacząć wszystko z nadzieją na przyszłość.

Wreszcie Kiang-si południowy. Ten trzymał się dobrze, ale prześladowanie dostało się i tu i potrzeba budować wszystkie zakłady w Ki-ngan, Kan-tcheon, Nan-kang i Nan-ngan.

Żeby mówić tylko o Ki-ngan, powiemy, że dwa nasze kościoły i rezydencye (Matka Boska Zwycięska i św. Józef), dwie ochronki (dziewczęta w Ki-ngan, chłopcy w Pi-shia), dwa seminarya, wielkie i małe, katechumenaty (mężczyźni i kobiety), apteki i kolegium wszystko stracone.

Prawda, że mandaryni przyrzekli odszkodowanie, lecz mimo odbudowania ileż trudu trzeba, aby podnieść tyle ruin w wschodnim i południowym Kiang-si.

„Kościół jest ustawiczną odnowicielką“ powiedziano i to też zamierzamy zrobić we wszystkich naszych misyach. Zaczniemy nasze dzieła bez zniechęcenia i z ufnością w P. Bogu. Wiemy, że ramię Jego nie osłabło i że On ma zapewnione zwycięstwo. Trzeba będzie jeszcze walczyć, cierpieć, wiemy, co nas czeka. *Euntes ibant et flebant mittentes semina sua; venientes autem venient cum exultatione portantes manipulos suos!*

Thé-Kiang.

W prowincyi Tché-Kiang, podobnie jak w wielu innych, widziano w ubiegłym roku wracający pokój, naruszony przedtem powstaniem Bokserów. Zrujnowane nasze zakłady przychodzą powoli do siebie, a i chrześcijanie rozprószeni wskutek prześladowania, powrócili znów do swego ogniska domowego. Więcej aniżeli kiedykolwiek są teraz przywiązani do swej wiary, a duch prozelityzmu, podniecony zwycięstwem Europejczyków i ich opiekunów, odniósł liczne zdobycze. Żniwo zapowiada się obficiej niż dawniej a dla jego zebrania będzie potrzeba nietylko rozszerzyć spichlerze Ojca Rodziny, ale co z tem ściśle jest złączone, powiększyć robotników i źródła. Miejmy nadzieję, że Pan żniwa nie omieszka temu zaradzić. W rzeczy samej zdaje się, że chwila jest krytyczna i że chwała Boża wymaga, aby była z pożytkiem dla dusz. Straszna chwila, która spustoszyła nietylko same Chiny ale i zakłady misyonarzy, układy polityczne albo też i piękne pomysły przemysłu i handlu, szczęśliwie przejdzie i położy podstawy prawdziwej przemiany społecznej; taka nasza nadzieja.

Chiny, zmuszone przebudzić się ze swego stuletniego letargu, otwierają swe bramy na roścież nietylko rzeczom ale i ideom i zaczynają od reformy programu egzaminów. Od niepamiętnych czasów byłato droga, przez którą przechodziła cała klasa wyższa i wiemy także jak wielką budziło zazdrość to wyróżnianie, sama w sobie jednakże nie miała nic takiego, coby w ogólnych zarysach tylko przypominało postęp wiedzy i nauki zachodniej, chyba wymaganie ogólnych wiadomości o Konfucyuszu i Menucyuszu. Stąd ta ciemnota u uczonego i mandaryna, powiększona jeszcze wzgardą dla tego wszystkiego, co się nie znajduje w ich księgach klasycznych; stąd te tysiące zabobonów i przesądów, które pilnie przechowuje wyższa klasa pośród ludu.

Stary ten nałóg wnet zaginie. Nie pójdzie się do szkoły starych mędrców jedynie po wiadomości literatury klasycznej

i historyi starożytnej napełnionej mitologią, znaczną część czasu poświęci się studyom języków, literatury i naukom europejskim. Młodzież udawać się będzie poza morze, aby sobie przyswoić naszą cywilizacyę, przyjdą wykształcić się na ławkach naszych kolegiów i uniwersytetów. Ci, którzy nie będą w stanie przedsiębrać podobnych podróży, znajdą na miejscu to, czego im będzie potrzeba do ich nowego wykształcenia. Już zakładają się w wielkich miastach szkoły pod kierunkiem nauczycieli europejskich. Zarządca Thé-Kiangu zaprowadza ich kilka w swej stolicy, a Tao-tai z Ning-Po stara się o znaczną ilość osób nauczających, by módz ich założyć jakie pół tuzina. Jeżeli gorliwość ta się utrzyma i rozszerzy, to Chiny wkrótce będą zmienione. Młodzież, żyjąc codziennie i przez kilka lat z nauczycielami europejskimi, porzuci wnet zabobony, a owi „szatani zachodni" z bliska widziani, nie będą dla nich tak złymi i takimi czarownikami. A gdy potem po pozbyciu się swych przesądów i tysięcy praktyk zabobonnych nie przyjmie prawdziwej wiary, — nauczy się przynajmniej szanować ją i oddawać jej część przynależną. Lecz do tego potrzeba jeszcze, aby Misyonarz był nauczycielem w szkole, jak to zrobiono w Japonii, jeżeli dla wielkiej pracy musi zaniedbać słowa Bożego, swoich chrześcijan i katechumenów, aby przywołał z pomocą członków Kongregacyi nauczających. Jestto wielka troska chwili obecnej i spodziewamy się, że temu zaradzi wielkie dzieło „Rozkrzewienia wiary św." Koszta założenia nowego dzieła „szkół na wschodzie" będą znaczne i wielkie to nasze życzenie, ażeby dusze szlachetne, nie obojętne na to, cokolwiek może pośrednio czy bezpośrednio pomnożyć chwałę Bożą i spokojne zdobycze Kościoła, zajęły się ważną tą kwestyą i dopomogły nam w jej załatwieniu.

X. Faveau,
kapłan Zgromadzenia Misyi.

Wikaryat apostolski Pekinu i Tche-Ly północnego.

Uroczysta audyencya udzielona X. Favier, Biskupowi pekińskiemu przez cesarza i cesarzową Chin.

Misye katolickie ogłosiły list niżej podany. Wskazuje on, pisze gazeta *l'Univers* (18 kwietnia 1902 r.), jak szanuje dwór cesarski chiński zacnego Biskupa Pekinu. A zresztą, na kilka dni przedtem otrzymał X. Biskup Favier tytuł mandaryna pierwszej klasy, godność udzielaną tylko książętom, a bardzo rzadko Europejczykom.

List X. Biskupa Favier, wikaryusza apostolskiego Pekinu i północnego Tche-Ly.

Pozwólcie mi donieść wam bardzo dla was miłą wiadomość: mój sufragan i ja byliśmy przyjęci na audyencyi u cesarzowej matki i cesarza, w niedzielę 23 lutego o godz. 10 rano. Przedstawiciel Francyi był tak łaskawy, że dał nam do rozporządzenia dwie zielone lektyki Poselstwa, w których udaliśmy się do pałacu.

Otoczeni gronem mandarynów, wysłanych na nasze spotkanie, weszliśmy w lektykach do wnętrza bramy zachodniej, gdzie czekało na nas około 20 mandarynów pierwszej klasy. Zaprowadzono nas do sali, przeznaczonej jedynie dla księcia Ksing, który nas miał przedstawić cesarstwu. We fioletach i ceremonialnych płaszczach, szliśmy za księciem, prowadzącym nas do sali tronowej. Zrobiono tam za pomocą obrazów osobny oddział, zarezerwowany wielkiej Radzie; tamto nas przyjęto.

Cesarz i cesarzowa siedzieli na zwykłym tronie, pokrytym żółtym jedwabiem, matka cesarzowa po prawicy, cesarz po lewicy; mały stolik stał przed niemi. Zrobiliśmy trzy ukłony i przybyliśmy w ten sposób do małego stolika, odległego mniej więcej na jeden metr od cesarskich Mości. Podziękowałem cesarzowej i cesarzowi za łaskawe przyjęcie nas na audyencyę, powinszowałem im powrotu do Pekinu i wyraziłem im wdzięczność za przychylne dekrety dla chrześcijan.

Cesarzowa, ubolewając nad rozruchami ostatnich lat, powtarzała nam kilka razy, że się już nie odnowią, a potem dodała:

„Wiem, że nauka, którą nauczacie jest znakomita, że biskupi i misyonarze są bardzo dobrzy i zachęcają lud do dobrego. Wszyscy mandaryni powiedzieli mi, że szczególnie wy jesteście pełni sprawiedliwości, bo od tylu lat, jak jesteście w Chinach, postępowaliście we wszystkiem z największą uczciwością i zgodą, a to każe was szanować. Znałam was z opinii i od dawna pragnęłam was zobaczyć; bardzo jestem zadowolona“.

Wasza Cesarska Mość wynagrodziła nam już za naszą dobrą wolę i nasze małe prace, nadając nam wysokie stopnie mandarynów, za co my też pokornie dziękujemy; nie zaniechamy, jak i dawniej, zachęcać chrześcijan do zachowania praw cesarstwa, do pożycia braterskiego z ich współobywatelami, bo tworzą jeden tylko naród, których ojcem i matką cesarzowa i cesarz; powinni ich szanować i modlić się za nich.

Cesarzowa odpowiedziała:

„Wiem o wszystkiem, co robicie i jestem za to wdzięczna, lecz pośród ludu chińskiego, podobnie jak pośród ludów Europy, w tak wielkiem zbiorowisku ludności, znajdują się dobrzy i źli; na tak wielką liczbę chrześcijan, mogliby się zdarzyć i źli, mimo ślicznej waszej nauki, doskonałych waszych urządzeń, waszej czujności i szczerego zamiłowania pokoju; trzeba czuwać i dobrze wybierać“.

Odpowiedziałem:

Używamy w tym celu wielkich ostrożności, każąc nieraz czekać dwa lata tym, którzy chcą być chrześcijanami, żeby zbadać, czy nie mają procesów, czy nie są kłótliwymi i czy zachowują dobrze prawa cesarstwa i dopiero po tej próbie przyjmujemy ich, a jeżeli się okaże, że są złymi, odrzucamy ich bez litości.

Cesarzowa przerwała:

„Bardzo dobrze, ja wiem o tem. Możecie liczyć na moją protekcyę, a pokój nie będzie więcej zakłócony".

W ciągu audyencyi powiedziałem cesarzowej, że Papież, liczący 92 lat, pytał się mnie o nią; a jej ostatnie słowa były:

„Życzę, aby Papież żył jeszcze długo, pełen pokoju i szczęścia".

Cesarz powiedział zaledwo kilka słów, a to z respektu dla cesarzowej matki, lecz były to słowa bardzo łaskawe, którym towarzyszył za każdym razem życzliwy uśmiech. Audyencya trwała blisko pół godziny. Cesarzowa rozmawiała z wielką dobrocią i prostotą, językiem mandaryńskim, którym dzięki Bogu, władamy dostatecznie.

Wydawała nam się nietylko bardzo wykształconą i umysłu bystrego, lecz co więcej, mimo swych 66 lat, zdaje się mieć zaledwo pięćdziesiąt. Cesarz jest wykształcony, o wzroku jasnym i przenikliwym; zdaje się cieszyć dosyć dobrem zdrowiem.

Cesarz i cesarzowa zrobili na nas najlepsze wrażenie, a szczerości dobrych słów cesarzowej, nie można z naszej przynajmniej strony podawać w wątpliwość. Rozmowa ta, aczkolwiek z grzeczności pochodząca, daje nam wielką nadzieję na przyszłość.

Sądzę, że cesarzowa była rzeczywiście bardzo zadowolona, skoro kazała nazajutrz księciu Ts'in napisać nam urzędownie list ze swej strony z wiadomością, że mój koadjutor zostaje podniesiony do godności czerwonego guzika, ja zaś otrzymałem wysokie odznaczenie pawich piór, jako dodatek do już odebranej godności.

List X. Biskupa Favier, Wikaryusza apostolskiego Pekinu do X. Milon'a, sekretarza Zgromadzenia w Paryżu.

Pekin, dnia 3 kwietnia 1902 r.

Kochany Księże Konfratrze!

Łaska Pana naszego Jezusa Chr. niech zawsze będzie z nami!

Do listu tego dołączony jest dekret cesarski.

Musiałeś czytać w *Misyach Katolickich* opis audyencyi, udzielonej mnie i mojemu koadjutorowi przez Ich Cesarskie Moście, audyencyi, po której zaraz nazajutrz nastąpiła odznaka zadowolenia, skoro Ich Cesarskie Moście podniosły każdego z nas o stopień wyżej w godności. Kilka dni później przedstawili cesarzowi i cesarzowej, książę, wicekról i wielki skarbnik prośbę tu dołączoną, a która, jak mi się zdaje, jest niezaprzeczenie odpowiedzią na oszczerstwa rozsiane przeciwko misyonarzom Pekinu. W rzeczy samej, wysokie powagi prowincyi widziały wszystko, słyszały wszystko, układały, badały i załatwiły z nami wszystko i one to ułożyły tę prośbę i wyjednały nam cesarskie wynagrodzenie! Ja otrzymałem czerwony guzik pierwszej klasy i pierwszego stopnia; żaden mandaryn w Chinach nie ma wyższego i nie wiem, coby mi mogli dać jeszcze więcej. Mgr. Jarlin, Mgr. Brugnière, X. Giron zostali także wynagrodzeni i proszę zważyć na powód wszystkich tych nagród. Otóż powodem tym, to „przyczynienie się do uspokojenia“ i „bezstronne traktowanie spraw religijnych“ nadto odszkodowania, które ułożyli z nami pełnomocnicy podług badań tychże wysokich dygnitarzy, którzy ułożyli prośbę z wielkim skarbnikiem Tchoo-fu na czele. Pozostawiam wolność wyprowadzania wniosków.

Breve papieskie zrobiło mi największą przyjemność, nie tyle dla zaszczytu, jak raczej dla świadectwa, które nam daje Ojciec święty.

Życzę sobie, aby obydwie te rzeczy, podane Najczcigodniejszemu naszemu Ojcu Generałowi, sprawiły Mu po-

ciechę wśród wszystkich Jego zajęć. Wyraź Mu, kochany Księże, równie jak i XX. Asystentom, zapewnienie mojego synowskiego przywiązania, i przyjmij także i dla siebie itd.

† *Alfons Favier.*

PROŚBA

wręczona Cesarzowi i Cesarzowej, dnia 16, księżyca 2, roku 28 Koang-Su (25 marca 1902 r.), potwierdzona i ogłoszona w urzędowym dzienniku.

Ja, Yuen-che-Kae, opiekun cesarski, minister morza północnego, wicekról prowincyi Tché-Ly, błagam Wasz Majestat na klęczkach o przychylenie się do tej prośby, w sprawie dania nagród wszystkim mandarynom, uczonym, misyonarzom europejskim albo krajowcom za sprawy, odnoszące się do trybunału wielkiego sędziego, aby wybrać najwięcej zasłużonych i żeby ich wynagrodzić według zasługi.

Imiona ich są na trzech tu dołączonych listach. Wielki sędzia zapytał się mnie listownie, czy trzeba wynagrodzić mandarynów i tych, którzy w sprawach religijnych pracowali w sposób nadzwyczajny i są bardzo zasłużonymi i żebym przedstawił główniejszych cesarzowi i ja też wobec tego ułożyłem tę listę 18 pierwszego księżyca dla Waszej Cesarskiej Mości, która mi ją odesłała opatrzoną swem potwierdzeniem z temi słowy: Zgadzamy się podług prośby. Idąc więc za wolą Waszej Cesarskiej Mości, napisałem wielkiemu sędziemu Tcho-Fu, aby się zajął tą sprawą. A teraz podaję wniosek Tchoo-fu'na:

Wielu mandarynów i uczonych uspokoili wzburzenia i ochronili chrześcijan i z tego powodu narazili się na wiele cierpień i niebezpieczeństw; uratowali dobrych, zgniatając niegodziwych, wystawiając się przez to na ich napaści. Przywrócili także zgodę, stłumili nienawiść pomiędzy burzycielami a chrześcijanami, uspokoili okolicę, i wreszcie pracowali ze wszystkich sił w sprawie odszkodowania, aby zanadto nie obciążać skarbu. Gdy zaś teraz nastał spokój i gdy minęło

już niebezpieczeństwo, powinno się wynagrodzić mandarynów i cywilnych, wojskowych i uczonych, stosownie do ich zasługi, ażeby ich wybrać, powinno się rzecz starannie zbadać dla uniknienia nadużycia. Nadto oprócz tych mandarynów są jeszcze Misyonarze i mandaryni europejsko-chińscy, a tym znowu trzeba dać guziki, pawie pióra, albo krzyże honorowe dla okazania szacunku, należnego cudzoziemcom. Wielki sędzia prosi mnie, abym o tem doniósł Waszym Cesarskim Mościom, a ja zważając, że podczas roku 26 (1900—1901) została cała prowincya Tché-Ly spustoszona przez straszliwych Bokserów i że się zaledwo jedno znalezie miejsce, wolne od tej burzy; zważając, że po przybyciu wojsk sprzymierzonych, nie zmniejszyły się wcale trudności, a mandaryni zamianowani do uporządkowania spraw religijnych, potrafili przecie mimo niebezpieczeństw, trudności i odpowiedzialności doprowadzić wszystko do dobrego stanu a gdy wreszcie pokój został utrwalony, zasługują zaiste na nagrodę. Co do mandarynów europejsko-chińskich i Misyonarzy, którzy nie robiąc różnicy między Europejczykami a Chińczykami, przyczynili się czynnie do uśmierzenia rozruchów, słuszna rzecz, aby i z pośród nich wybrać zasłużonych, wynagrodzić ich i zachęcić przez to do współzawodnictwa w dobrej sprawie.

Podaję przeto Waszej Cesarskiej Mości listę mandarynów, prosząc Ją o łaskawe potwierdzenie nagród, chociaż to zależy całkiem od dobroci Waszej Cesarskiej Mości. Wybraliśmy mandarynów, mających być wynagrodzonymi, porozumieliśmy się o tem z ministrami (chińskimi), lecz potrzeba jeszcze przedstawić pokorną tę prośbę Jej Cesarskiej Mości Cesarzowej i Waszej Cesarskiej Mości i otrzymać wskazówki w tym względzie.

Potwierdzam czerwonym pędzlem; niech o tem wie minister wojny i niech edykt ten będzie szanowany.

(Po liście mandarynów i uczonych, następuje ta oto trzecia):

Imiona Misyonarzy europejskich i europejsko-chińskich, którzy bardzo dobrze załatwiali sprawy religijne i odszkodowania i które my podajemy Waszej Ces. Mości do zbadania:

Prawdziwy Biskup (wik. apost. Pekinu) Favier, Francuz, który już ma guzik II. klasy i pawie pióra, został podniesiony do rzędu guzika I. klasy.

Biskup-koadjutor Jarlin, Francuz, mający już guzik II. klasy, otrzymuje pawie pióra.

Biskup z Tcheng-ting-fu, Brugnière, Francuz, otrzymał guzik III. klasy.

Misyonarz z Shien-shien, Berker, otrzymał guzik IV. klasy.

Misyonarz Piron z podprefektury Tsin-kuen-sien, otrzymał Krzyż honorowy I. klasy, stopnia trzeciego.

Mandaryn europejsko-chiński, Splingaert, Belgijczyk, który już ma guzik III. klasy z pawiemi piórami i tytuł funkcyonaryusza został podniesiony do guzika II. klasy.

Delegat do trybunału wielkiego sędziego, Bourguignon, Francuz, otrzymał guzik IV. klasy z pawiemi piórami.

Pastor angielski, protestancko-anglikański Ngo-onan-dje, otrzymał krzyż honorowy I. klasy, stopnia trzeciego.

(Cesarz potwierdził czerwonym pendzlem):

Widziano i potwierdzono; edykt ten powinien być szanowany.

Mało było szczegółów o tem, co się działo w Tché-ly, za Pekinem, podczas zdarzeń r. 1900. Następujący list zawiera zajmujące wiadomości o niektórych chrześcijańskich tych osadach.

W Youn-Ning i Yu-Tcheon.

List X. Catheline, kapłana Zgr. Misyi do Siostry Miłosierdzia N... w Paryżu.

Tientsin, 17 grudnia 1901.

Droga Siostro!

Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa niech zawsze będzie z nami.

Nie będę nic mówił ani o Pekinie ani o Pé-tangu, bo szczegóły te już ogłoszono.

Ja osobiście nie znajdowałem się w tak krytycznem położeniu. Jak wiadomo, rozruchy Bokserów zaczęły się w pierwszych miesiącach r. 1900. W ostatnich dniach kwietnia został Mgr. Jarlin koadjutorem Mgr. Favier. Ja byłem wtenczas w górach na czele małej osady chrześcijańskiej od 1.500 do 1.600 wiernych liczącej, na dwa dni odległości od Pekinu; miałem ze sobą, jako wikaryusza jednego znakomitego chińskiego księdza. Zaproszono mnie o udanie się na konsekracyę Mgr. Jarlin, a ponieważ w naszych górach było całkiem spokojnie, pospieszyłem chętnie do Pekinu. Konsekracya była 29 kwietnia, w dniu Przeniesienia relikwii św. naszego Ojca, piękne to było święto rodzinne. Lecz już w Pekinie dochodziły nas zewsząd nadzwyczajne pogłoski i zgiełk; Bokserowie, bardzo już liczni zaczynali swe ćwiczenia i zabobony, oskarżali już Europejczyków o rzeczy nie do uwierzenia. W kilka dni po konsekracyi wybrałem się z powrotem do Young-Ning, mojej osady, lecz miałem tam tylko przyjść, bo właśnie odebrałem zmianę miejsca, przeniesiono mnie do Yus-tchevu, 6 dni odległości na zachód od Pekinu. W czasie powrotu chrześcijanin towarzyszący mi, zwrócił mi uwagę, że ludzie patrzą na mnie jakoś złowrogo, usłyszałem nawet kilka zaklęć na mnie, ale nie zważałem na to. Gdym przybył do rezydencyi, ksiądz chiński zwrócił mi uwagę, że rozruchy idą swym trybem i że położenie staje się poważnem. Zdawało mi się, że przesadza, pocieszyłem go, sądząc, że wszystko się uspokoi. Podczas tego gotowałem się spokojnie na nowe moje miejsce, a miałem najmniej sześć dni jazdy konnej, aby się tam dostać.

Po kilkudniowym odpoczynku, widząc, że miasto nieco spokojne, wyjechałem wczesnym porankiem. Udałem się najpierw do Chouang-chon-tze, stąd do Suen-hoa-fou z pewnym konfratrem i moim przewodnikiem. W Suen-hoa-fou, mieście pierwszej klasy, gdzie mamy wielką rezydencyę, odpocząłem sobie kilka dni. Zresztą X. Vanhersecke, dyrektor całego dystryktu północnego Pekinu, powiedział mi sam, abym czekał i że pojedziemy potem razem do Yu-tcheon.

Lecz nagle zgiełk powiększa się w sposób zastraszający w Suen-hca-fou. Pokazują się nie wiadomo skąd, tysiące Bokserów. Wszędzie mowa tylko o wymordowaniu Europejczyków i chrześcijan. Hałasy te podniecają lud i położenie staje się coraz poważniejsze a dla nas niebezpieczniejsze; ja ani mogłem myśleć o dalszej jeździe i tak zostałem między jedną osadą, którą opuściłem, a drugą, do której nie mogłem się dostać.

Od 10 czerwca począwszy nie przyszedł żaden goniec z Pekinu. Z tych zaś, których my wysłaliśmy, nie mógł ani jeden dotrzeć do Pekinu. Około 15 czerwca przyszło kilku chrześcijan z Pekinu z wieścią, że wszystko w ogniu. Wreszcie w nocy 19-go przybywa z Pekinu jeden chrześcijanin, zbieg i donosi nam, że kościoły w Pekinie spalone, księża i kapłani zamordowani, X. biskup i misyonarze męczennikami i że Pétangu już niema. Wszystko było prawda co do kościołów, lecz Pé-tang na szczęście istnieje jeszcze dziś i dziwna rzecz, oblęgany dwa miesiące, wytrzymał wszystkie napaści. Lecz biedni my misyonarze, oddaleni na 5 dni drogi, jakżeż możemy dowiedzieć się o prawdzie? A i my narażeni byliśmy na największe niebezpieczeństwo. Opuszczeni dwaj tylko, Europejczycy w wielkiem mieście z chrześcijanami, zaczynającymi już uciekać, wystawieni byliśmy na śmierć pewną.

Co więcej, tego samego dnia 20 czerwca po południu, hałasy te wzmagają się jak istna burza. W mieście wszystko w ruchu, mówią, że tej jeszcze nocy mają nas wymordować, że dowódcy Bokserów już przybyli i że mandaryni miasta wyszli im naprzeciw. Przestraszeni chrześcijanie wołają: „Ojcze odjeżdżaj, jeszcze czas, uciekaj do Mongolii". Po tej panice postanowiliśmy X. Vanhersecke i ja odjechać, jeżeli prawda, jak mówią chrześcijanie zbiegli z Pekinu, że wszystkie kościoły spalone, że X. Biskup i Misyonarze zamordowani, to niewątpliwie przychodzi na nas kolej, nie ujdziemy zajadłości Bokserów. Zresztą nic nie poradzimy dla obrony chrześcijan, wielu już odjechało a inni przygotowują się do wyjazdu, nie wydało nam się przeto rozsądnem zostać tam dla obrony

czterech ścian. Czekamy przeto nocy bo około 10 godzin w ciemnościach udamy się w ucieczkę. Jechać musieliśmy całą noc i pół dnia przez góry, a z tego można pojąć moje zmęczenie, gdyż byłem chory. Nasze przybycie do Si-ouan-tze zrobiło głębokie wrażenie. Mgr. Van Aertselaer i poczciwi jego Misyonarze przyjęli nas otwartemi rękoma. Tam byliśmy już bezpieczniejsi; nasi chrześcijanie przybyli tam prawie wszyscy w dniach następnych. Z chrześcijanami z Mongolii i sąsiednich wiosek wzrosła znacznie ludność Si-ouan-tze, liczono tam najmniej 5 do 6 tysięcy chrześcijan dość dobrze uzbrojonych w kilkaset strzelb, przeszło 15 Misyonarzy uzbrojonych w strzelby europejskie, jeden oficer belgijski, komendant artyleryi, który się tu znalazł szczęśliwym trafem i on to wziął na siebie obronę Si-ouan-tze.

X. Vanhersecke został tylko dwa albo trzy dni w Si-ouan-tze, ponieważ jak mówił, miał jeszcze chrześcijan we wsiach niedaleko od Suen-hsa-fon, pójdę ich podtrzymywać. bronić i jeśli tego potrzeba umrzeć z nimi, jestto mój obowiązek pasterza. Z boleścią patrzałem na jego odjazd, chętnie byłbym mu towarzyszył. Lecz powiedział mi to niepodobna. jesteś chory, nie mógłbyś najpierw ani iść za mną, ani znieść tyle niewygód, a nadto nie masz obowiązku czuwania nad owieczkami, bo zmieniono cię z twego miejsca Joung-Ning, który dopiero opuściłeś, a zresztą są tam dwaj księża chińscy, zostań tu. Musiałem się poddać rozporządzeniu, lecz żałowałem zawsze, że nie pozostałem w wikaryacie, gdybym był pozostał w Joung Ning, byłbym otrzymał palmę męczeńską. Udało się wprawdzie tamtejszemu księdzu chińskiemu uciec, lecz ja chory i Europejczyk, a zatem łatwy do rozpoznania, nie byłbym uciekł, lecz niestety nie byłem godny męczeństwa. X. Vanhersecke cudem tylko uniknął śmierci. Po kilku tygodniach połączył się X. Planchet w Chonang-hoa-fon, wielkiej osadzie na jeden dzień odległej od Suen-hoa-fon; tam napadli ich Bokserowie i żołnierze, lecz oparli im się zwycięsko. W czasie tym dostał drogi nasz Dyrektor X. Vanhersecke, febry tyfoidycznej, która go o mało co do grobu nie zapro-

wadziła. Ileż przykrości i cierpień dla drogiego tego konfratra. Ja więc musiałem zostać 3 miesiące w Si-ouan-tze; nie zaczepiano nas i z tej przynajmniej strony mieliśmy mniej do cierpienia niż gdzieindziej, lecz jakże to było przykro nie mieć żadnych pewnych wiadomości, a mieć tylko wieści jakieś może prawdziwe, może fałszywe, zwłaszcza, że nie mogliśmy się wcale porozumieć przez te długie miesiące z Pekinem.

Porobiłem sobie w tych dniach kilka następujących notatek: X. Biskup odbiera z Si-ouan-tze 5 lipca list od mego dawnego wikaryusza z Joung-Ning, gdzie pisze, że rezydencya spalona, wszyscy prawie chrześcijanie zamordowani albo w górach otoczeni; sam zaś ksiądz ukrywa się w jaskini, na dwa dni drogi stąd, prosi o pomoc.

10 lipca. Dziś przybył tu X. Tchou (Marcin), ksiądz chiński, dawny mój wikaryusz z Joung-Ning z jaką dwudziestką chrześcijan; musiał pieszo uciekać z góry na górę nie mając żadnej żywności, unikając domów, idąc tylko w nocy i to dwa tygodnie wśród największych niewygód. Mówił, że wszystkich naszych chrześcian wymordowano w sposób najokropniejszy z wyrafinowaniem, na którego wspomnienie dreszcz przechodzi.

Kilka dni później dowiadujemy się, że nasza rezydencya w Suen-hoa-fon spalona podobnie jak i inne wsi chrześcijańskie; kilkuset naszych wiernych otrzymało palmę męczeńską.

Wreszcie w pierwszych dniach sierpnia otrzymałem z Chonang-hou-tze wiadomość od X. Planchet, gdzie mi pisze, że zaczepili ich żołnierze chińscy i niezliczona liczba Bokserów; lecz dzięki Bogu chrześcijanie byli w stanie odeprzeć zwycięsko napad. W tym samym liście dowiedziałem się, o zniszczeniu naszej rezydencyi w Suen-hoa-fon i kilku innych wsi chrześcijańskich; co więcej, pisze mi, że X. Vanhersecke jest ciężko chory i że wiadomości z Pekinu są najgorsze, lecz nie wiadomo nic na pewno.

W liście z dnia 19 sierpnia dowiaduję się od tego samego konfratra, że żołnierze europejscy na pewno wzięli Tien-tsin i nadto 15 sierpnia Pekin, co zresztą było prawdą.

Za kilka dni wysyłam sługę do Pekinu z poleceniem, aby był roztropny, dotarł aż do Pekinu i przyniósł nam listy i pewnych wiadomości z Pé-tang. Dopiero 29 września, w święto św. Michała, dowiedzieliśmy się o całej prawdzie. Nie mówię nic o tem, Siostra musiała już o tem czytać.

Dopiero 10 października mogłem opuścić Si-ouan-tze, udałem się najpierw do Pekinu, potem do Ju-tcheon, nowej mojej osady, ocalonej jakby cudem. W Joung-Ning zamordowano przeszło 1.500 wiernych a teraz zostało zaledwo 200 katolików w tej osadzie. Wszyscy prawie wyznali odważnie swą wiarę.

Pewien chiński konfrater X. Piotr Toung, który pozostał w Ju-tcheon w czasie tych burz, opisał po łacinie główne wypadki, jakie się zdarzyły w tej osadzie, posyłam dosłowne tłómaczenie tego sprawozdania.

Nowa rzecz, o której nie wspomina nam chiński konfrater jest ta, że w czasie wielkiego niebezpieczeństwa, wziął X. Toung Najśw. Sakrament i pobłogosławił na publicznem placu chrześcijan, aby ich wzmocnić, a wymęczeni podupadli na duchu, nabrali zaraz odwagi.

Oto co się zdarzyło w osadzie, gdzie przybyłem w listopadzie 1900 r. Od tego czasu układają się powoli rzeczy: odszkodowano chrześcijan, pokój panuje prawie wszędzie. Ja byłem ciężko chory i dlatego też umieszczono mię w Tientsindla odpoczynku, a pomagam także pewnemu konfratrowi, który jest bardzo zajęty.

Racz przyjąć itd. *X. E. Catheline.*

Sprawozdanie X. Piotra Tung, kapłana Zgr. Misyi.

Prosty opis zdarzeń w czasie prześladowania w Ju-cze-u.

(Tłómaczenie z łacińskiego.)

Okolica Ju-cze-u należy do prefektury Suen-hoa-fu w prowincyi Pe-czi-ly. Oddalona jest od Pekinu na 450 ly i leży w górach, względnie do Pekinu leży na zachód, zwrócona nieco na północ.

W okolicy tej znajduje się także dosyć wielkie miasto, rezydencya cywilnego mandaryna. Za tem miastem jest wielka wioska prawie tak zaludniona i tak handlowna jak same miasto, od którego leży na 40 ly na wschód, nazywa się Si-ho-ing. Jestto centrum Misyi katolickiej w tej okolicy. Znajduje się tam dość piękny kościół z rezydencyą, gdzie mieszka dwóch Misyonarzy Zgromadzenia Misyi.

W czasie rozruchów Bokserów w r. 1900 powstało prześladowanie przeciwko św. religii i w Ju-cze-u. Historya jego przedstawia się krótko, mniej więcej w ten sposób:

Prześladowanie zaczęło się 17 maja 1900 we wsi Teu-ce-ti-sia, oddalonej na południe na 65 ly od miasta Ju-cze-u. Ruch Bokserów rozpoczął się nagle pod kierownictwem pewnego kupca z Pekinu, przeszedł następnie do wsi Ts'i-Kia-ts'au, 7 ly od Si-ho-ing; a wreszcie z dnia na dzień rozszerzył się dość szybko w całej okolicy Ju-tczeu. W czerwcu było już niebezpiecznie dla chrześcijan podróżować.

Księża z Ju-tczeu, pozostający w Si-ho-ing, usłyszawszy o niepokojach w Pao-tinggfon zachęcali swych chrześcian do nadziei w Bogu i do modlitwy do Najśw. Panny, a potem do użycia środków ludzkich celem odparcia Bokserów. Kazali też dlatego wybudować naokoło miejsca, gdzie się szczęśliwie zgromadzili wszyscy chrześcijanie, wały z ziemi, opatrzone otworami, przez które można było widzieć nieprzyjaciela i strzelać do niego; udało im się nadto kupić kilka złych strzelb chińskich, prochu i ołowiu; zboże i wszelkie wiktuały zebrane były w rezydencyi Misyonarzy. Chrześcijanie innych wsi na wschód od Si-ho-ing schronili się także do Misyonarzy, ze zachodu zaś udali się do małej wsi chrześcijańskiej Ling-louo; tam były naturalne mury z ziemi, co wyglądało na małą fortecę i łatwo też mogli się bronić. Powoli opuszczali chrześcijanie z całej okolicy Ju-tczeu, przeszło 2.000 osób — domy, ziemię i wszystko co mieli i chronili się w dwu wyżej wymienionych miejscach. Dniem i nocą czuwano i każdej chwili oczekiwano Bokserów. W Ty-ho-ing około 30 Bokserów badało nawet naszą rezydencyę, lecz

zabrakło im odwagi do napadu, bo widzieli jak przyszła do nas jakaś beczka i kilka pudeł a sądzili, że to była armata europejska i amunicya. Armata ta, opowiadali sobie, niesie na 40 ly, a prości wierzyli w to. Nadto rezydencya leży na górce, na zachód i południe są głębokie rowy, niepodobna tam przejść, zwłaszcza, że tam teraz zbudowano wały. Na północ są sklepy pogańskich kupców, a wreszcie na wschód domy pogan, zbiegłych podczas rozruchów. Trudno więc było Bokserom dostać się wprost do rezydencyi. Mówiono także, że chrześcijan jest 10.000, gdy tymczasem w rzeczywistości było ich zaledwie 1.500.

Wreszcie przyszli Bokserowie 25 lipca wczesnym porankiem podczas Mszy św. i chcieli wejść do rezydencyi w liczbie 400—500. Chrześcijanie zamknęli bramę, ta jednak nie wytrzymała naporu i otwarła się, wtedy dano ognia, czterech Bokserów zostało rannych, jeden zabity. To trochę ostudziło napastujących, cofnęli się więc, pozostając jednak we wsi. Od tej chwili zaczyna się oblężenie, które będzie trwało 18 dni.

Broń naszych napastników była różna, jedni byli uzbrojeni w długie szable, noże, piki, inni mieli pochodnie w ręku i zapalali wonne laski; wszyscy jakby opętani wydawali dzikie okrzyki: bij, bij! śmierć, śmierć! palić, palić! i t. d. Dzielni nasi chrześcijanie, nie dając się przestraszyć podobnym wrzaskiem, czekali spokojnie drugiego napadu. Nie powtórzył się już tego dnia. Rozwścieklem przebiegali miasto, machając szablami i nożami, roznosząc wszędzie strach; kupcy z pewnością ze strachu dawali im mieszkanie i żywność. Chrześcijanie chcieli więc napaść na sklepy, schroniska ich, lecz Misyonarze nie zezwolili na to, aby nie oburzać na siebie ludzi, a nadto spodziewaliśmy się, że i tak odejdą Bokserowie. Lecz ci zwołują pomoc z sąsiednich wsi; 25 lipca zmuszają mieszkańców do napadu na chrześcijan około godziny 6 wieczorem. Byłto hałas i wrzawa piekielna, tysiącami rzucano zapalone pochodnie, wystrzały odzywały się bezustannie, każdy Bokser trzyma w ręku obok szabli i noża,

zapaloną wonną laskę; dzieci przestraszone rzucają się na ziemię.

Przez nieroztropność rzucił jeden chrześcijanin ognia do prochu i spalił się żywcem, przeciwnicy nasi sądzili, że to ich pochodnie były tego powodem, podwajają więc zuchwałość, rzucają się zapalczywie na rezydencyę, ale nie mogą wejśći Rozwściekleni niepowodzeniem palą pogańskie domy, obok naszych położone. W tym czasie kobiety, dzieci i wielka liczba nie walczących modliła się gorąco w kościele, wzywając opieki Matki Boskiej. Inni opatrzeni w strzelby albo jakąkolwiek inną broń czuwali za murami albo na dachach domów. Kilku Bokserów zostało rannych, inni pierzchają w nieładzie, wydając straszne okrzyki, wiele dzieci nie mogących się schronić zostało zgniecionych przez tłum. Nie wiemy dokładnie o liczbie umarłych, bo byłoto w nocy, lecz narachowano ośmnastu.

Żeby rzecz odmiennie przedstawić, wołali uciekając: „zapalcie latarnie! *eul mao tze* (przekleństwo na naszych chrześcijan używane) uciekają“. Urządzono też zaraz iluminacyę w całej wsi i okolicach. Od tego dnia Bokserowie z innych wsi chcieli powrócić do domu, lecz zatrzymano ich w Sy-ho-ing, mówiąc im: „przyszliście tu bić chrześcijan, jeżeli nas opuścicie, odcierpimy za to, nie powinniście i nie możecie odjeżdżać, dopóki ich całkiem nie zniszczymy“.

Wszyscy więc uzbrojeni w strzelby musieli zostać walczyć a później wysłano deputacyę do mandaryna z Ju-tcze-u z żądaniem o żołnierzy i pomocnik. Dotychczas opierał się mandaryn, tym razem jednak się zgodził. Pewien niższy mandaryn wojskowy, wysłał swego syna z innym jeszcze dowódcą i żołnierzami uzbrojonymi w dobre strzelby europejskie. To było już poważne, zanosiło się na prawdziwe niebezpieczeństwo.

Po południu 1 sierpnia przychodzi ze wszystkich wsi i okolic przeszło 10.000 ludzi, Bokserów, rozbójników, złodziei, niegodziwców, aby się przypatrzeć naszej zagładzie, o której wtedy nikt nie wątpił. Pod wieczór cała ta zgraja,

zaczyna krzyczeć i wrzeszczeć, trzyma się jednak w pewnej odległości od rezydencyi. Wynajdują inny znów środek. Zapalają domy położone na zachód. Poczciwi nasi chrześcijanie zatrważają się, zwłaszcza, że w tym czasie powstał okropny wiatr, lecz ogień jak cudem, nie zajął niczego po tej stronie. Rozwściekleni pochwycili wtenczas pewnego bonzę, który jak mówił, chciałby spalić magią wszystkich pogan, zamordowano innego jeszcze poganina.

Drugiego sierpnia napadają śmiało na naszą bramę Bokserowie sąsiedniej wioski, bo pochlebiano im, że są zręczniejsi od drugich. Lecz nie udało im się; jednego zabito, kilku zraniono kamieniami, a wreszcie wszyscy uciekli. Chrześcijanie i dzieci zaczęli się śmiać z tchórzostwa tych ludzi, rzucających broń po ulicach.

Nazajutrz usiłują nas znowu podpalić, lecz wskutek opieki iście opatrznościowej i wyjątkowej nie zdołali wzniecić pożaru.

Trzeciego sierpnia nadchodzą żołnierze i dobrzy strzelcy ze znakomitemi europejskiemi strzelbami. O godz. 9 rano zaczęto strzelać, ugodzono jednego chrześcijanina w piersi, który umiera ze słowami „Jezus Marya"; zraniono także ciężko drugiego; nadto spadła cegła na jednego księdza, ale nic mu się nie stało. Od tego dnia kule nie przestały świstać ze wszech stron. Jestto straszna muzyka, ciągnąca się przez dziewięć dni bez przerwy we dnie i w nocy.

Opiszę teraz dziwny pożar. W czasie chwilowego odpoczynku, bierze na siebie pewien olbrzym Bokser zniszczenie kościoła. Przychodzi, trzymając w jednej ręce skrzydło drzwi a w drugiej ogromną szablę. Herkules ten, wchodzi na dach pogańskiego domu tuż przy naszej rezydencyi machając bronią, otoczony kilku innymi. Pewien chrześcijanin, który patrzał na to wszystko, skrada się bokiem, dochodzi z tyłu na olbrzyma i zabija go na miejscu. Widząc to towarzysze uciekają; trzech zabito i obdarto z broni a z nimi i owego Goliata. W nocy zabrały rodziny ciała poległych, lecz zamiast je pochować, włożyli je do pudeł w nadziei, że zmartwychwstaną. W ciągu tych dni zraniono około 10 chrześcijan,

wprawdzie nie śmiertelnie, wszyscy jednak musieli opuścić swe domy z ziemi, kule bowiem dochodziły tam zewsząd i były bardzo niebezpieczne, kościół więc był schroniskiem. Na szczęście mamy około rezydencyi silny mur na 3 metry i on też był prawdziwą ochroną, kule przechodziły nie raniąc nikogo. W każdym razie zgroza dochodziła do szczytu, każdy żył z dnia na dzień, nie wiedząc, czy dożyje jutra. Dniem i nocą odmawiano bez przerwy różaniec i inne modlitwy, każdy we łzach pobudzał się do żalu doskonałego. Codziennie była Msza św. o pokój i zdanie się na wolę Boga; co więcej, zrobiono ślub, że wybudują ołtarz św. Rodziny i kupią statuę w razie uniknięcia śmierci. (Chrześcijanie zebrali w tym celu przeszło 700 franków i już zamówiono statuę). W czasie tego groźnego niebezpieczeństwa przechowywano jedną tylko hostyę, aby chrześcijanie mogli adorować Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie. Bokserowie pokonani zażądali armat dla żołnierzy a dla naszych obrońców było to okazyą małej krotochwili.

Mniemani niezwyciężeni i niepokonani Bokserowie, zmęczeni długiem niepowodzeniem i niezdatni do niczego, zatknęli w ziemię swe chorągwie, których mieli na tysiące, i zadowolnili się tem, że sobie popili, pojedli i pospali. Lecz oto nadchodzą dwie małe armaty, nabite ołowiem strzeleckim; ustawiają je w dosyć dalekiej odległości naprzeciw kościoła. Pada strzał, unosi się niezmierny dym, a mur z ziemi, na którym stała armata, zwala się; to była jedyna klęska wyrządzona tą nieco prymitywną machiną. Wiele hałasu, mało treści. Odtąd nabierają chrześcijanie odwagi. W nocy dnia 7 września, umyka potajemnie mandaryn; chciano go zmusić do napadu na czele, lecz dzielny ten wojownik obawiał się śmierci. Każdy zresztą w inny sposób pojmuje odwagę. Inni uciekają także powoli.

Dziewiątego września przechodzi przez Sy-ho-ing wielki mandaryn cywilny miasta Ju-tcze-u. Doczekaliśmy się nazajutrz po odejściu mandaryna nowego napadu. To samo się powtarzało: dzikie krzyki, pogróżki, przekleństwa. Raniono 10, inni myślą poważnie o powrocie do wiosek. Jedynastego odeszli prawie wszyscy, ale mieszkańcy obawiają

się zemsty chrześcijan; wychodzą ci ostatni 12 września w małej liczbie i nic złego ich nie spotyka. Trzynastego, w dniu targu, otwierają bramę, poganie wioski przyjmują dobrze naszych chrześcijan, każdy okazuje złość na Bokserów, nazywając ich stadem wściekłych zwierząt i przeklinając ich.

Mówili, że widzieli w czasie napadu na rezydencyę, poważnego starca (około 200 lat) przy bramie, trzymającego laskę w ręku; strzelano a razy mu nic nie szkodziły. Chrześcijanie widzieli w tem opiekę św. Józefa. Widzieli także (poganie) liczne niewiasty ubrane biało z długimi włosami, spadającymi na ramiona, one otaczały miejsce naszych wiernych. Sądzili chrześcijanie, że to dusze czyścowe, które wzywali o opiekę. Nadto na dachu kościoła, stała biała i majestatyczna Pani. Czyżto nie jest Matka Boska, którą widziano prawie wszędzie i Aniołowie ochraniający naszych chrześcijan? Widzenia te mieli tylko poganie. Że to jednak nie były same tylko powiastki, wykazuje to następujące zdarzenie, wskazuje równocześnie na pogańskie zepsucie, Bokserowie widząc, jak wszystkie te niewiasty ochraniały kościół, powzięli pewną szatańską myśl, sądząc, że w ten sposób zawstydzą je, jakoż zrzucili z siebie ubranie i pozostali tak całkiem nadzy; chrześcijanie widzieli to, a nie wiedząc o niczem, żałowali tylko, że nie mieli broni, którąby ich potrafiła dosięgnąć. Poganie twierdzili także, że śrót chrześcijan był zawsze dla nich zabójczy, jeden z nich został śrótem raniony, spuchnął a później umarł.

Piotr Tung, kapłan Zgrom. Misyi.

List X. Planchet, kapłana Zgromadzenia Misyi do X. Catheline, kapłana tegoż Zgromadzenia.

Chouang-chou-tze, 6 sierpnia 1900.

Drogi Konfratrze!

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech będzie z nami!

Z wielką radością otrzymaliśmy wczoraj Twój list z 23 lipca. Zadawaliśmy sobie zawsze pytanie, co się stało z Mon-

golią a zwłaszcza z Si-ouan-tze i z wszystkimi jej mieszkańcami. Wszyscy jesteście bezpieczni — Bogu niech będą dzięki! Od czasu, jak odebrałeś list od X. Vanherseck, postąpiły szybko sprawy naprzód w Suen-houa-fou. Nay-t'ouen nie ma już więcej. X. Heou opierał się z początku z powodzeniem 200 jeźdźcom i niezliczonej liczbie Bokserów — potem odszedł z wszystkimi swoimi, a od tej chwili zaczęły się morderstwa i wszelkiego rodzaju pożary. Poganie donieśli mu, jakoby wielki mandaryn z Chong-King powiedział: zawołamy nowe oddziały tak długo, dopóki nie zgładzimy Nay-t'ouen. On sam tu przyszedł, a później poszedł w stronę Trappe.

Co do biednego X. Tchang, który tak jest chory, że na osła nie może wsiąść, jak to wiesz, ten schronił się w góry a później powrócił do pewnej biednej osady chrześcijańskiej Tchang-Kia-oua zwanej.

Po Nay-t'ouen przyszła kolej na Chouang-chen-tze. Rano, 22 lipca, widzimy nadchodzących 250 jeźdźców z rozwiniętymi chorągwiami w towarzystwie setki mniej więcej piechoty i niezliczonych Bokserów. Mieliśmy mały kwandrans czasu do przygotowania się. Napastnicy docierając aż do wioski ze strony północno-wschodniej i strzelają bez przerwy 4—5 godzin na kościół, tak, że nawet wychylić się nie było podobna; porobili dziury w murach, zabili na miejscu jednego chrześcijanina kulą, która przeszyła drzwi główne kościoła. Lecz powoli odżyła odwaga naszych. Obwarowując się w jednym ogrodzie, pochwycili pewnego mandaryna, złoszczącego się na swój karabin, który go ciągle nie chciał słuchać. Zabijają go natychmiast i biorą czemprędzej jego strzelbę. To zrobiło żołnierzy ostrożniejszymi, zaprzestają posuwać się naprzód, a nawet szukają bezpieczniejszego miejsca, a gdy wreszcie mieli kilku zabitych i rannych, wycofali się do sąsiedniej wioski.

Powrócili nazajutrz ze świtem z armatami, rzucającemi kule 4-funtowe. Podziurawiły kilka domów, ostatecznie jednak narobiły więcej hałasu aniżeli szkody, tym razem trzymali się z dala, cofnęli się znowu powtórnie, nie zrobiwszy

nic, gdy zraniono i zabito kilku pośród nich. Odpoczęli jeden dzień, aby dać czas na przybycie zasiłków, jakich zażądali z Suen-hoa-fou i skądinąd.

We środę o 3 godzinie rano słyszymy trąbkę — gotują się widocznie. O godz. 5 ruszyli, a za kwandrans ja uzbrojony w karabin owego mandaryna, zatrzymałem nadchodzący ich oddział. Pierwsze moje wystrzały zraniły ciężko trzech czy czterech; żołnierze usuwają się natychmiast, ukrywają się po zaroślach i biją z armat. Pierwsza kula przeleciała mi na jeden albo dwa metry ponad głową i strzaskała drzewo; trzecia zrzuciła jeden z małych dzwonków kościoła; inna obiła się o dzwon bez szkody. Gdy się już zmęczyli strzelaniem z armaty, posuwali się w dwóch liniach na zachód i południe. Wtenczas to mieliśmy sposobność przypatrzeć się ich męstwu; jak tylko uderzono jednego z nich, rozchwiał się cały oddział. Chrześcijanie byli nader weseli, pod koniec urządzili nawet pewnego rodzaju podjazd, który im się znakomicie udał.

Żołnierze, przerażeni podobną odwagą, uciekli i nie wiele brakowało do odebrania im ich armat. Przychodzili i odchodzili kolejno, aż do godz. $11^1/_2$. Byliśmy bardzo zmęczeni, lecz dzięki Bogu w tych dwóch ostatnich dniach nie mieliśmy ani jednego rannego.

Dwa dni później, gdyśmy się jeszcze przygotowywali, dowiadujemy się, że odchodzą, aby przyjąć nowego mandaryna wojskowego i rozgłaszają, że nigdy jeszcze nie prowadzili podobnej wojny. Za trzy dni znowu się pokazują, ale już w liczbie bardzo wielkiej, wskutek czego wszyscy chrześcijanie decydują się na ucieczkę, ale do tego nie przyszło. Mandaryn ten przyniósł nam list od prefekta, w którym po kilku udanych użaleniach, daje nam znać, że jeżeli będziemy nastawać na zacnych ludzi, to wytępi nas do jednego nowy mandaryn wojskowy Ho, który jest istnym piorunem wojennym i będzie miał albo już ma ośm obozów żołnierzy. List był adresowany do X. Vanhersecke. Odpowiedzieliśmy, że jak nastanie pokój, to damy wtedy odpowiedź.

Tak się więc z nami dzieje: z dnia na dzień idzie wszystko gorzej. Nie wiem, czy doczekamy się końca za życia. Na domiar nieszczęścia zachorował ciężko X. Vanhersecke na początku walki — teraz zdaje się minęło już niebezpieczeństwo.

Pozdrowienie dla X. Tchou (Marcina). Oddaj moje najgłębsze uszanowanie X. Biskupowi i wszystkim Ojcom z Siouan-tse.

X. M. Planchet.

Tché-Ly Wschodni.

Epizod z wojny Bokserów w Tché-ly wschodnim.

Męczeństwo Ouang ly-teo, Katechisty w Pan-kia-yng.

25 lipca 1901.

Ouang-lyteo (Mateusz), ojciec rodziny, która wydała sześciu męczenników, był trzecim z piętnastu chrześcijan zamordowanych przez Bokserów, za to, że nie chcieli się wyrzec św. wiary. Dowiaduję się 11 lipca od dwóch zbiegłych o rabunku głównej rezydencyi w Youang-ping; każe dwom synom uciekać do Mongolii razem z 7 innymi chrześcijanami ze wsi; drugi jednak nie chciał opuścić ojca, zostaje dla obrony kobiet i innych chrześcijan, nie mogących uciekać. W czasie poważnego popłochu dnia 16 lipca zabiera trzy pokrewne rodziny w liczbie 24 osób i zaprowadził je na 6 ly na północ do ujścia Na-tchoung, gdzie znaleźli schronienie w domu strzeżonym przez pewnego poczciwego poganina. Nie długo byli oni w tym domu bezpiecznymi, bo za trzy dni przyszło około 15 ludzi uzbrojonych w szable i dzidy ze sąsiedniej wioski z oznajmieniem, że tu nie mogą pozostać.

„Nie zważajcie na obecny nasz stan, w którym się znajdujemy — odpowiedział katechista — nastaną jeszcze piękne dla nas dni“.

Potrzebujemy jedno tylko słowo powiedzieć — odpowiedział poganin Tcha-lao-yao — a umrzecie. Stary stróż

Ly-King wstawił się za nimi, a banda cofnęła się, nie wyrządziwszy nic złego. Nazajutrz powiedział Ly-King Mateuszowi, że powrócą dla rabuuku, a na wieść tę chrześcijanie woleli wrócić ukradkiem do domów, z których wyszli i tak zabezpieczyć się to z tej, to z tej strony. Mateusz wychodził jeszcze paść swe woły, widząc jednakże zbliżające się niebezpieczeństwo, oddał je w opiekę pewnemu poganinowi. Dnia 25 lipca rano, skrył się katechista w suchem korycie rzeki Lan-ho, na 500 metrów na zachód od domu, gdy w tem oskarżony przed Bokserami, został nagle schwytany, związany i zaprowadzony do wsi Pae-tchouang. Tam przywiązali go Bokserowie do słupa zrujnowanej małej pagody i odeszli spokojnie na śniadanie. Tchwou-yu-shi, daleki krewny więźnia, uchodzący jednak według zwyczaju Chińczyków, za wuja, poszedł do naczelnika Bokserów i powiedział mu: Siostrzeniec mój jest poczciwym człowiekiem, pozwól mi ręczyć za niego. Poczciwy poganin poszukał sobie trzech ludzi z Pan-Kia-Yug, którzy przyszli ręczyć za starego katechistę. Wtenczas odpowiedział naczelnik: tu nie możecie tego zrobić, musicie iść do Yu-houang-miao. Pagoda ta, położona na 3 ly na wschód od podprefektury Kien-uyan-shien, służyła za główną siedzibę Bokserom tej okolicy, odkąd się znaleźli w stronach podprefektury, niższemu zaś naczelnikowi z Pae-tchouang chodziło bardzo o to, aby zaofiarować ważny swój łup wielkiemu mistrzowi.

Po śniadaniu prowadzili Bokserowie i naczelnicy wsi Mateusza na 2 mile odległości. Trzej ręczyciele i Tchou-yushi stawili się jeszcze przed wielkim mistrzem Kang-ho-chan jako ręczyciele. Ten zaś mówiąc w ogóle o chrześcijanach odpowiedział: „Ich zbrodnia jest wielka, czas ich już nadszedł, muszą umrzeć“. Ponieważ jednak ręczyciele nalegali dalej o łaskę, odpowiedzieli im naczelnicy, przybyli z Boksesami: „Każ mu wyrzec się wiary i niech da czy to ziemię, czy pieniędzy, a potem będzie mógł wrócić do domu“.

Słysząc to Ouang-ly-leo powiedział ręczycielom: „Wracajcie do domu, dobre wasze serce zrobiło już wszystko aż

do końca“. Tchou-yu-shi odpowiedział: „Mój siostrzeńcze wymów słowo apostazyi, ustąp cośkolwiek tym ludziom, powrócisz potem i będziesz nadal chrześcijaninem“. Wtenczas to wypowiedział Mateusz te pamiętne słowa, przytaczane dosłownie od świadków: „Żyję już przeszło 60 lat, chrześcijanami jesteśmy od piątego pokolenia, oczy moje widzą bramę niebios całą otwartą — jeden jeszcze krok, a wejdę do nieba; choćby mój własny ojciec powstał z grobu, (aby mnie zmusić do odstępstwa), nigdy nie mógłbym się wyprzeć mojej wiary“.

Wuj chciał jeszcze nalegać: „Drogi mój siostrzeńcze, masz śmierć przed oczami, jeżeli ustami nie wypowiesz słowa apostazyi, cała twoja rodzina, młodzi i starzy, wszystkie dobra, ziemie, domy, zwierzęta, wozy, jednem słowem wszystko przechodzi w ręce drugiego“.

Stary chrześcijanin odpowiedział: „Nadaremnie mówisz, nie mogę się wyprzeć mojej wiary“.

Wtenczas wuj, zwracając się do wielkiego mistrza i innych stojących, powiedział im: „Jeżeli nie zabijecie mojego siostrzeńca, sprzedamy 40 mou (1 mou — 6 arów) ziemi i ofiarujemy to tej pagodzie“. Lecz Mateusz przerwał natychmiast: „Wuju, słowa te ty tylko mówisz, ja ich nie mogę potwierdzić; choćbym nawet dał 40 mou ziemi, nie mógłbym przecież wyrzec się religii“.

Bokserowie więc powiedzieli wujowi: „Jeszcze go bronisz? Widoczna rzecz, że chcesz los swój podzielić z jego losem“. Tchou-yu-shi odchodząc, wyrzekł jednak te słowa: „Mój siostrzeńcze, nie chcesz więc doprawdy wypowiedzieć tego słowa?“

Katechista odpowiedział znowu: „Aż do śmierci, nigdy nie będę mógł wyrzec się religii“.

Nic już więcej nie miało i nie mogło przeszkodzić dokonaniu się ofiary. Zaraz też (godzina pierwsza) kaci nalali nafty na laski, które zapalają w pagodach przed bałwanami. Mateusz przywiązany silnie do jednego z drzew zachodnich, za główną pagodą, musiał trzymać usta całkiem otwarte, bo włożono mu pomiędzy zęby, przyrządzone w tym celu drzewo:

pierwsze miały być ukarane te usta niezwyciężone, które niedawno wyznawały wiarę na wzór rzymskich męczenników pierwszych czasów.

Inny Bokser pochwycił go za warkocz, opierając pięści o szyję, aby mu głowę pochylić. Dano mu wtenczas owe zapalone i dymiące laski pod usta, podczas gdy inny poganin skrzydłem popędzał dym i płomień do ust i nosa męczennika, a także i na piersi, które też wnet się opaliły i sączyły gorące krople tłuszczu. Męczarnia ta trwała dopóki się nie spaliły wargi i nie pokazały się gołe szczęki. Głowa stała się olbrzymią, oczy nie mogły nic widzieć, a usta nie zdołały słowa wymówić. Ponieważ jednak Mateusz jeszcze żył, odwiązali go, położyli go na ziemi plecyma i palili laski tak długo na jego piersiach, aż im się zdało, że umarł. Wywleczono go po za pagodę na 20 kroków na południowy zachód, na brzeg rzeki San-ly-ho, kilka metrów od mostu. Według niektórych miał jeszcze żyć, lecz nie jest to całkiem pewne. Gdy go tak przywlekli, żywego, czy umarłego, poodcinali Bokserowie szablami najpierw ręce, później nogi, a wreszcie głowę.

Odbyło się teraz spalenie zwłok. Z rozkazu naczelnika przesiano popioły, kości na wpół zwapnione spalono jeszcze raz. Wielki mistrz obawiał się, żeby się nie zamienił we widmo, bo powiedział, jak doniósł jeden Bokser: „jeden jesze krok, a wstąpię do nieba“. Wreszcie dla większego jeszcze bezpieczeństwa zebrano starannie popiół i wszystkie resztki i rzucono je pod zachód słońca do środka rzeki.

Dziesięć dni później, 3 sierpnia, zawołał z radością młody syn męczennika na widok śmierci swej siostry 13-letniej: „Idę złączyć się z moim ojcem w niebie“ — sam bowiem oddał się w ręce katów swej siostry.

Błogosławiona rodzino! módl się za nami!

NB. Powyższe szczegóły dali nam krewni piętnastu ofiar tej samej osady, którzy je zebrali z opowiadania naocznych świadków. *X. Geurts, wik. apost.*

Persya.

List X. bisk. Lesné, Delegata apostolskiego do X. Angelli, kapłana Zgromadzenia Misyi w Paryżu.

Ourmiah, 27 listopada 1901.

Kochany Księże i Konfratrze!

Przed kilku miesiącami, opierając się na kilku danych mi obietnicach pomocy, poleciłem X. Malaval, superyorowi Taurydy, aby zajął się zakupnem terenu ze względu na przyszłe wprowadzenie Sióstr do Taurydy. Odpisał mi, że ukończył już zakupno.

Tu zdołaliśmy także odbudować dwie trzecie naszej rezydencyi, spodziewam się, że na przyszły rok zupełnie ją ukończymy. Włączam do listu fotografię tego, co już zrobione, aby was pocieszyć rezultatem otrzymanym. Zasiłki otrzymane pozwoliły nam założyć odpowiednio nasze szkoły, drukarnię i wszystkie małe dzieka, które będą nadal złączone i będą się mogły rozwijać z pomocą Zbawiciela i opieką Jego dobrej Matki a zarazem i naszej.

W ostatnią sobotę odwiedził nas książę dziedziczny, zwiedzający kraj. Przyjęliśmy go z wszystkimi możliwymi godności jego należnymi zaszczytami. Chciał także zwiedzić nasze szkoły, gdzie go dzieci w odpowiedniej sali, przygotowanej na tę okoliczność, przyjęły; zaśpiewały mu pieśni na jego cześć, a te jak się zdaje, zachwyciły go. Odczytano potem dwa powitania, jedno po persku, drugie po francusku; dano mu ich kopie, wydrukowane na pergaminie. Poszliśmy potem do drukarni, która go bardzo zajęła. Zaprowadziliśmy go wreszcie do kościoła, który go też bardzo uderzył, bo chociaż nie jest przepyszny, jest przecież ozdobą kraju. Odprowadziliśmy go potem aż do wielkiej bramy z temi samemi ceremoniami jak przy przybyciu.

Od nas poszedł zwiedzić szkołę Sióstr Miłosierdzia, gdzie jak mówił, był bardzo zadowolony. Tego samego wieczora przysłał do nas pewnego człowieka, aby nas upewnić

o swem zadowoleniu a za kilka dni przysłał 500 franków, aby je rozdzielić pomiędzy nasze dzieci i Siostry.

Odwiedziny te książęce znalazły wielki odgłos w kraju, zarówno u chrześcijan jak i muzułmanów, zwłaszcza, że książę zapewniał głośno, że ze wszystkich wizyt spodobały się Mu najwięcej wizyty dwóch naszych domów. To musi pozostawić pomyślne wrażenie, które będzie korzystne dla naszych dzieł.

X. F. Lesné,
Delegat Apostolski.

Syrya.

List S. Wincenty Sion, Siostry Miłosierdzia w szpitalu Najsłodszego Serca w Caïffe (Palestyna).

Caïffa 12 marca 1902 r.

Caïffa, jest to małe miasto o 12.000 duszach, obiecujące wiele na przyszłość z powodu portu handlowego. Co je przedewszystkiem robi sławnem i drogiem dla wszystkich serc chrześcijańskich, to świątynia Matki Boskiej Szkaplerznej, unosząca się nad miastem i zasłaniająca je niby płaszczem opiekuńczym. Miasto to jest ukryte za górą, tak, że przybysz zauważyć go dopiero może przy wejściu do portu.

Wszystkie obrządki i wszystkie sekty są tu zebrane: Łacinnicy, Maronici, Grecy (katolicy), Żydzi, Turcy, Grecy (schizmatycy), Protestanci. Ci ostatni wywierają z każdym dniem coraz większy wpływ, który my zwalczamy z całą siłą, niestety nie tak, jakbyśmy chcieli, bo środki nasze za słabe w porównaniu z ich środkami. Co do Turków i muzułmanów, nie są zbyt fanatycznymi, mają dla nas wielką cześć, a zwłaszcza niewypowiedzianą ufność w nasze lekarstwa i opiekę. Od czasu, jak tu przechodziły Siostry dla udania się do Nazaretu, proszono je koniecznie do jednego szpitala i w tym to celu dwa lata temu zostałyśmy tu przysłane.

Protestanci mieli już tu kilka szkół i zamierzali otworzyć ochronkę dla dzieci od 2—10 lat. Nie mogłyśmy być nieczułemi na nieszczęście, zagrażające tylu duszom.

Dnia 17 października 1899 r. zaczęłyśmy to zajmujące i użyteczne dzieło; a czyż nie zależy to wszystko od pierwszego wychowania? Niejedna z Sióstr w szpitalach tutejszych zna wiele przykładów, że wspomnienia z lat dziecięcych nigdy się nie zacierają; jużto starzec, jużto żołnierz zawdzięcza swe zbawienie modlitwie, której się nauczył w ochronce i której nigdy nie zapomniał.

Co do nas, to choćbyśmy żyły sto lat, wspomnienie pamiętnego poranku otwarcia domu nie zatrze się nigdy w pamięci. Biedne te małe dzieci nie widziały jeszcze kornetów i stąd też wydawały straszne okrzyki, gdyśmy się do nich zbliżały, odpychały ręce, odrzucały cukierki, nie chciały o niczem słyszeć a płacz pierwszych powodował płacz drugich, świeżo przybyłych. W pierwszym dniu miałyśmy już 60 dzieci wpisanych. Matki tych dzieci błogosławiły Pana Boga, nie wiedziały, jak wyrazić swą wdzięczność i było to dla nas męką patrzeć na ich entuzyastyczne okazywania wdzięczności. Całowały nam ręce i nogi a te, które znalazły już zamkniętą bramę, hałasowały na zewnątrz i nie uspokoiły się, aż im nie obiecano, że nazajutrz weźmiemy ich dzieci. Liczba dzieci powiększała się codziennie tak, że w miesiącu wszystko było pełne. Dziś jest ich przeszło 300 wpisanych. Mamy je u siebie od 7 godziny rano do 5 wieczór. Każde przynosi ze sobą obiad, składający się przeważnie z chleba a niektóre mają jeszcze jako dodatek ogórek, kilka oliwek. Wobec czegoś podobnego rozczuliło się nasze serce i dorzuciłyśmy trochę zupy ryżowej, co jest dobrodziejstwem dla tych małych niewinniątek, zwłaszcza w czasie deszczowym, gdzie przychodzą do nas boso, obdarte, drżące z zimna i głodu; dobra, gorąca zupa zagrzewa zesztywniałe małe członki; litość bierze nad niemi!

Pewnego razu widziałyśmy, jak pewna liczba tej dziatwy odeszła od nas do protestantów; nie byłyśmy spokojne, dopóki nie dowiedziałyśmy się o powód tego. Odwiedzając chorych, nie było trudnem dowiedzieć się, że powodem tym, to nędza. Pociąg otrzymania nowego ubrania z okazyi nowego roku

od protestantów był jedynym źródłem zmiany tej. Aby uniknąć tego złego, musiałyśmy się postarać o to samo dla naszych dzieci; lecz jakżeż sprawić przeszło 300 ubrań z naszej szczupłej kasy?

Ksiądz proboszcz tej parafii, dopomógł nam i dał nam 20 franków. Lecz cóż to jest wobec naszej potrzeby? Mimo to wzięłyśmy się do dzieła i dopomogłyśmy przynajmniej niektórym. Obietnica na przyszłość pocieszy chwilowo drugie. Liczyłyśmy na pomoc miłosierdzia na rok przyszły.

Powoli wróciły nasze dzieci a z niemi i inne. Co za pociecha wyrwać tyle małych dusz z rąk szatana! Niestety zmuszone jesteśmy odesłać te, które jeszcze codziennie napływają, niepodobna bowiem gromadzić tyle dziatwy. Trzysta pięćdziesiąt w jednej sali — to wbrew wszelkim przepisom hygieny, ale co zrobić?

Dzieci wogóle są pojętne i dobre. Rezultaty z dwóch lat szkolnych są cudowne. Wszyscy nasi mali uczniowie byli przedtem włóczęgami, było ich pełne ulice od rana do wieczora; przechodnie, zwłaszcza cudzoziemcy, mieli dość powodu do użalania się na nich. Dziś idą i przechodzą spokojnie, całując z szacunkiem rękę, mówiąc dobrze po francusku „bonjour". Czasem są przedmiotem małej rozrywki. Aby pokazać, że się uczą po francusku, czego jeszcze nie umieją, mówią rano „bonsoir", a wieczór „bonjour". Pewnego dnia dobrześmy się naśmiały; przychodzi do mnie jedna z uczennic i zaczyna wyliczać całą swą wiedzę: „Bonjour, ma mère, comment allez-vous? Bien, Merci" itd., nie miałam nic do odpowiadania. Drugim razem pozdrawia chłopiec jedną z Sióstr: „Bonsoir, mes enfants". Lecz to im nie przeszkadza do wyliczania kilku francuskich komplementów, grania i śpiewania małych piosenek, do wykształcenia się jak w naszych ochronkach we Francyi.

Takie początki były zachęcające. Powoli także tj. 27 listopada otworzyłyśmy naszą aptekę. Ponieważ nadchodzili liczni chorzy z prośbą o lekarstwa, lękałyśmy się, bo nie byłyśmy w nie bardzo zaopatrzone. Wreszcie uległyśmy ich

błaganiom. Pan Bóg widocznie nas ochraniał i dał nam znać, że to dzieło Mu się podoba, przez liczne pociechy, których nam udzielił. Pobłogosławił słabym naszym siłom i tak dalece dał pomyślność naszym zabiegom, że sława słynnych naszych lekarstw rozniosła się nie tylko w całem mieście, lecz po wielu nawet miejscowościach.

Dostajemy przeciętnie co rano od 120 do 150 osób, od godz. 8 do 11, z każdej narodowości, obrządku i sekty. Trzy Siostry zaledwie wystarczą tej pracy. Wszystkie sąsiednie wsi wierzą teraz, że są w Caïffa lekarze-specyaliści dla ubogich, a poczciwi ci wieśniacy nie dbają na podróż całonocną byleby się tylko dostać do nas. Można sobie wystawić ilość lekarstw, jakiej nam potrzeba, przykro nam, że musimy odmawiać tylu nieszczęśliwym tego, cobyśmy i chętnie dały. Lecz mamy nadzieję, Pan Bóg nie opuści dzieła tak korzystnego dla chwały Jego imienia, zwłaszcza, że pokazał, że taka Jego wola.

Ach, jakżebyśmy pragnęły przedstawić duszom miłosiernym to wzruszające widowisko, którego jesteśmy codziennymi świadkami na kurytarzu naszej apteczki. Tam nędze wszelkiego rodzaju, fizyczne i moralne, najdokuczliwsze i najwstrętniejsze, pobudzające do łez litości, a które śmieszność ubiorów zwraca jeszcze więcej uwagi na siebie.

Odbierałybyśmy z wdzięcznością jałmużny dla tych wydziedziczonych z dóbr tego świata. Widok ich, to obraz którego ani słowo, ani pióro nie potrafi przedstawić. Jednem słowem, jestto coś najbiedniejszego, najnędzniejszego, a w dodatku co jest najwięcej cierpiące i wstręt wzbudzające.

Popołudniu zwiedzają Siostry z apteki chorych po domach. Nie mogę wyrazić uczucia, jakiegom doznała, gdym weszła po raz pierwszy do jednego z tych mieszkań, jeżeli wogóle można użyć tego wyrazu. Są to prawdziwe stajnie. Mimowoli niejako człowiek się cofa, przekraczając próg, bo okropny wychodzi zaduch z tych kryjówek, zadaje sobie pytanie, jak tam mogą żyć ludzie. Zwierzęta i ludzie, wszystko

to razem mieszka, a z tego można wnosić o porządku, jaki tam się znajduje.

Pozwólcie mi przedstawić wam mieszkanie ubogiego, leżącego we febrze, do któregośmy były dziś zawołane.

Przeszedłszy przez podwórze, gdzie trzeba było kroczyć przez nawóz i uważać, gdzie nogę położyć, znajdujemy się przed małemi drzwiami, gdzie się trzeba nachylić, aby przez nie przejść. Potem napotyka się mnóstwo innych przeszkód, czasem jeszcze trudniejszych do pokonania, zanim się dojdzie do chorego, wzywającego naszej opieki.

Pojmiecie to łatwo, gdy wam powiem, że to jedyny pokój dla rodziny; jestto i kurnik, stajnia dla osła lub kozy, gołębnik, kuchnia, jadalnia i sypialnia tego tak rozmaitego personalu. Zwierzęta i ludzie żyją tam razem w nieładzie, te na słomie, ci na plecionkach. Łóżka tu nieznane. Dochodzimy do chorego leżącego, rodzina znajduje się dookoła niego na tejsamej plecionce. Mały piecyk z ziemi, służący do gotowania zupy ryżowej, znajduje się przy chorym, aby go grzać. Nas czeka wygodniejsze siedzenie. Zaledwieśmy pozdrowiły naszych ludzi, zaraz wstała jedna z osób, aby przynieść i uwić kilka wałków ze słomy albo mchu i zrobić z tego rodzaj niskiego krzesełka. Z obawy, aby ich nie zmartwić, przyjęłyśmy to, zwykle jednak dziękujemy i stoimy. Żeby jednak rozmawiać z chorym trzeba się koniecznie nachylić do niego. Krzesła są bardzo rzadkie u ubogich. Kładą się spać w ubraniu, którego nie zdejmują, dopóki się nie zedrze. Pewnego rodzaju kołdra służy do uchronienia się od zimna. Przy jedzeniu niema ani łyżek ani widelców, a wszyscy wspólnie i wielcy i mali biorą ryż z naczynia w środku izby, talerze są tu nieznane. Dzieci tylko do 2—3 lat mają łóżeczka nieco miększe niż ziemia: jestto pudło, napełnione łachmanami, wychodzącemi na wszystkie strony, zawieszone na sznurach.

Jak nas boli serce na widok tych biednych, leżących tak miesiącami, pozbawionych wszystkiego, proszących nas, aby ich przyjąć do naszego szpitala, gdzieby mogli prędzej wyzdrowieć, to łatwo pojąć.

Lecz cóż robić? Cóż znaczy 14 łóżek dla 12.000 ludności? Musimy ich pozostawiać w tym opłakanym stanie, albo też pozwolić, żeby przeszli na protestantyzm.

Teraz mogłybyśmy zapobiedz temu nieszczęściu, gdybyśmy mogły im dać jakąś ulgę w nadziei, że znajdą kiedyś u nas pomieszczenie w razie powiększenia lokalu. Dziś to niemożliwe dla braku środków! Cóż znaczy ta trocha, którą im dajemy w porównaniu z tem, co oni potrzebują? Głęboka wdzięczność, jaką nam okazują ci biedni ludzie za najmniejszą rzecz, jest dla nas tem boleśniejszą, że im nie możemy dopomódz, stósownie do ich potrzeby.

Wizytę, nie połączoną wcale z żadną zapomogą, przyjmują z najżywszą radością. Niektórzy płaczą z rozczulenia, gdy widzą, jak się schylamy do ich legowiska, aby im dopomódz, obwiązać schorzałe ciało, albo powiedzieć tylko kilka słów pociechy. Cóżby to było, gdybyśmy im mogły dać środki do postarania się o żywność? To wskazuje, jak łatwą byłoby rzeczą przyprowadzić do Pana Boga dusze tak czułe i pełne dobrego usposobienia. *Siostra Wincenta Sion.*

Ameryka południowa.

W każdym numerze roczników mamy coś do zanotowania o naszych domach w Ameryce i o misyach amerykańskich. Są to przedewszystkiem wiadomości, dotyczące Ameryki południowej , bo w Ameryce północnej są prawie wyłącznie konfratrzy nasi na parafiach.

Jest zresztą zasadnicza różnica między Ameryką północną a południową: pierwszą zamieszkuje rodzina germańska, przeważa tu język angielski, a religia panująca jest protestancka, drugą, t. j. Amerykę południową zamieszkuje rodzina romańska, t. j. Hiszpanie i Portugalczycy, język na zachodzie hiszpański, we wschodniej części portugalski, religia prawie wyłącznie katolicka.

Wkrótce po odkryciu Ameryki południowej i poszczególnych jej krajów, powstały gwałtowne spory między Janem

II-gim, królem portugalskim, a Ferdynandem V., królem kastylskim co do świeżo odkrytych posiadłości w nowym świecie, dokąd tłumnie przenosili się tak Portugalczycy jakoteż i Hiszpanie.

Papież Aleksander VI-ty był sędzią rozjemczym w tym sporze. Wydał on 3 pamiętne bule dla złagodzenia sprawy. W buli *inter caetera* z 4 maja 1493 r. nakreślił ostateczne granice między nowo zdobytymi krajami. Dziś jeszcze pokazują w muzeum Propagandy mapę, na której Papież Aleksander VI. pociągnął linię na zachód od wysp Azorskich i Zielonego Przylądka ku obydwu biegunom. Król hiszpański miał posiadać ziemię, wyspy i kontynenty na zachód od tej linii, do Portugalczyków miały należeć posiadłości, położone na wschód od tej linii.

Linia ta, nakreślona przez Papieża, znajduje się pod 55^0 długości zachodniej, licząc od pierwszego południka, który przechodzi przez Paryż i przecina część Ameryki południowej. Stąd Brazylia przypadła Portugalczykom, podczas gdy zachodnie kraje Ameryki południowej przypadły Hiszpanii, od której oderwały się dopiero w pierwszej połowie zeszłego wieku.

Od czasu załatwienia sporu i utrwalenia granicy, posiadłości dwóch pobratymczych narodów, szybkim krokiem postępowało rozszerzenie ewangelii w nowych krajach. Już w r. 1512 wysłał Papież Juliusz II., dwóch biskupów na wyspy San-Domingo i Porto-Rico, w siedm lat potem wysłał Papież Leon X., Juliusza Garcès do Jukatan, gdzie założył miasto Angelopolis w pobliżu Tlaskala. Ten sam Papież zamianował Aleksandra Giraldini biskupem na San-Domingo z poleceniem, by uporządkował sprawy religijne w nowych krajach.

W r. 1527 zamianował Papież Klemens VII-my, Jana Zumawaga z zakonu Franciszkańskiego, biskupem Meksyku; w trzy lata zaś później powstało biskupstwo we Wenezueli. Za Papieża Pawła III-go, powstały stolice biskupie w Quatemala, Limie i Quito. — wkrótce poszczególne prowincye

miały swoich biskupów, którzy gorliwie pracowali nad powierzoną sobie owczarnią Chrystusową. Kościół św. rozwijał się w południowej Ameryce coraz bardziej, a kiedy w całej niemal Europie w ślad za Francyą rewolucya ołtarze obalała, kościoły zbeszczeszczała, a duchownych skazywała na wygnanie, tu w czasie pokoju zakwitła oświata, handel a przemysł podniósł dobrobyt mieszkańców, — duchowieństwo zaś, pełne zapału i gorliwości apostolskiej, zjednywało sobie coraz większe poważanie. Powstały szkoły, kolegia i akademie duchowne, szpitale i klasztory oddawały Kościołowi niezliczone usługi a równocześnie powstały świątynie, lśniące od bogactwa i przepychu.

Jednem słowem Chrystus zapanował w całej Ameryce południowej, bałwochwalstwo wygasło prawie zupełnie, herezya nie znalazła tu dotąd wstępu. I byłaby Ameryka wzorem dla innych części świata, gdyby nie była wdarła się i tu rewolucya na początku zeszłego wieku, która obaliła dotychczasowy porządek polityczny, — powstały republiki, dążące zbyt często do podkopania wpływu i powagi Kościoła św.

Pracują tu oddawna i konfratrzy nasi, żaląc się ciągle na brak pracowników.

Tym razem przesłano nam następujące wiadomości z Ameryki.

San Salwador.

Ks. Karol Hétuin, w liście do O. Generała, daje krótkie sprawozdanie z prac misyjnych w tym kraju.

Od 18 grudnia 1900 roku do 30 kwietnia 1901 r. dał wspomniany konfrater wraz z ks. Potier 7 misyj w parafii, złożonej z 5 wsi, odległych od siebie od 10—15 km., a mianowicie w San Antonio de los Ranchos, las Flores, San Isidro, Cancasque i Potonico. San Antonio jest siedzibą proboszcza, liczy do 6.600 dusz. Błogie owoce obficie wynagrodziły trudy misyonarzy, wyspowiadano do 6.600 dusz, a naprawiono 70 małżeństw.

Nie mniej pocieszającą była misya w Guaritu w Honduras. Dzikie i strome góry, dziewicze lasy, nieurodzajne, bezdrzewne i kamieniste stepy nadają temu krajowi bardzo ponury wygląd. Lud naturalnie zupełnie zaniedbany a obojętność religijna, to wybitna cecha tutejszych chrześcijan. Zdawało się, że z misyą odżyją wszyscy i otrząsną się z martwoty duchowej, zwłaszcza, że gromadnie przychodzili z głębi lasów na powitanie misyonarzy. Już jednak nazajutrz przekonać się mogli konfratrzy, jak dalece zobojętnieli wszyscy w religii św. Rozpoczęła się misya, a tu zaledwie zebrało się 20 ludzi. Na widok tak niesłychanej obojętności ostygnie i największy zapał, ale mimo tego wzięli się misyonarze do pracy, prosząc Boga, by poruszył te twarde serca. Nie zawiodła ich nadzieja, bo zwolna przychodzili się przysłuchać naukom a w końcu z zupełnem zaufaniem prosili o spowiedź św. Nawróciło się również kilku protestantów, wśród nich naczelnik miasta, który w każdą niedzielę miewał kazania do swoich współwyznawców i zwykł był mawiać, wskazując na ewangelią: tu jest cała nasza wiara i religia.

Quatemala.

W opłakanym po prostu stanie znajduje się Rzecz pospolita Quatemala. Są tu bowiem tylko nasi konfratrzy i Siostry Miłosierdzia, wszystkie inne zgromadzenia i zakony uległy kasacie. Nie ma zupełnie seminaryum duchownego, duchowieństwo świeckie nieliczne a rekrutuje się przeważnie z obcokrajowców. Następstwem tego lud, choć wyłącznie katolicki, żyje w grubej nieświadomości najważniejszych prawd i w obojętności religijnej, bo nie ma nikogo, ktoby ich pouczył.

Nie mogą temu zaradzić nasi konfratrzy, bo jest ich tylko 4 i mieszkają w stolicy. Jeden z nich, zajęty wyłącznie sprawami Sióstr Miłosierdzia w San Salwador, Nicaragua i Costa-Rica; gdy objeżdża domy, wraca dopiero po 3 miesiącach; zajęty nadto szkołami, gdzie jest do 800 dzieci, spowiada całymi dniami i t. d. Inni misyonarze — jest wśród nich ksiądz staruszek — obsługują szpital, mieszczący 600

chorych, dom starców, sierót i t. d. W podobnych oczywiście warunkach nie podobna myśleć o misyach. Biedni to doprawdy ludzie, los ich gorszy od pogan, bo znają potrzeby swoje, a zaradzić im nie umieją. Rozległe parafie mają jednego tylko księdza, 40 parafij pozbawionych całkowicie pasterza. Spełniają się słowa ewangelii św.: messis quidem magna, operarii autem pauci.

Nie mniej stosują się te słowa do misyi w rozległej Brazylii. Już w ostatnim z roczników przytoczyliśmy list X. Gavroy, sup. w domu Bahia, w którym donosi O. Generałowi, że XX. Rocha i Vaessen wyjechali na 15 misyj w głąb kraju.

Dziś wyjmujemy kilka szczegółów z obszernego listu X. Rocha, w którym opisuje wyżej wspomniane misye.

„Wyjechaliśmy 26 stycznia 1901 r. koleją; w Timbo czekały nas muły, bo mieliśmy jeszcze przed sobą 87 klm. drogi. Z biedą tylko dostaliśmy się na drugi brzeg rzeki Itapienon, wezbranej w tym czasie. X. Vaessen był po raz pierwszy na takiej misyi — cały mokry, w butach miał pełno wody, ubranie poszarpane, a twarz cała podrapana. Zmęczeni, stanęliśmy w Itabaiana w prowincyi Sergipskiej i tu rozpoczęliśmy pierwszą misyę. Porządek zachowaliśmy następujący:

O godzininie 4 wstaliśmy, następnie odmówiliśmy modlitwy poranne, a o $^3/_4$5 wychodziła pierwsza msza św., po której następowała nauka katechetyczna; od godz. 6 do $^1/_2$12 spowiedź kobiet, do godz. 12 horki.

Po obiedzie i rekreacyi o $^3/_4$2 wspólny brewiarz, od $^1/_2$3 do $^1/_2$ 7 spowiedź mężczyzn, następnie kazanie, wspólny różaniec i modlitwy wieczorne.

Kiedy przybywamy na miejsce, już jest zgromadzonych do 4.000 z różnych stron a liczba ta wzrasta z każdym dniem. Mieszkają pod gołem niebem lub szałasach; kazania głosimy na dworze, bo kościoły za małe.

Misya przynosi pewne korzyści materyalne tym miejscowościom, gdzie się odbywają, bo w czasie wolnym budują się kaplice, restauruje kościoły, zakłada cmentarze i t. p.

W pierwszej misyi brało udział do 7.000, ale zaledwie połowę zdołaliśmy wyspowiadać.

Druga misya była w Bucacia.

Mieszkańcy dobrzy, gościnni, ale ubodzy. Kościół w opłakanym stanie, zdaje się, że fasada runie każdej chwili. Wieleśmy tu doznali biedy; mieszkanie okropne, drobny pył dostał się do oczu, nosa i uszu, niepodobna było zasnąć i odpocząć po trudach całodziennych.

Na trzeciej misyi w Picado postawiliśmy krzyż 18 metrów wysoki. Był to rzadki okaz, olbrzym w lesie. Ciągnęło go 24 wołów, ubranych w kwiaty, a miejscowa orkiestra żwawo przygrywała.

Jedna z następnych misyj była w Maroim. Jestto miasto handlowe, mieszkańcy bogaci, ale równocześnie z dobrobytem wkradło się i zepsucie obyczajów. Znajdują się tu 2 loże masońskie, protestantyzm bardzo czynny a spirytyzm w pełnym rozwoju; książki treści bezwstydnej rozpowszechnione. Dawali tu OO. Kapucyni misyę przed kilku laty, ale nie ukończyli jej z powodu nieprzyjaznego usposobienia mieszkańców. Baliśmy się bardzo tej misyi. X. proboszcz nie oczekiwał nas. Miasto, choć ludne wydawało się pustem i wymarłem, a było to w niedzielę. Pytamy o mieszkanie proboszcza, odpowiedziano nam, że zamknięte a proboszcz w sąsiedniej parafii. Krytyczne było nasze położenie, nie wiedzieliśmy co, co począć i gdzie się udać. Szukamy pociechy i rady w modlitwie i oto, gdy odmawialiśmy brewiarz w kościele, poznali nas dwaj krewni jednej z naszych Sióstr z Bahia i gościnnie nas u siebie przyjęli. Nadjechał tymczasem i proboszcz, którego zaufanie pozyskaliśmy odrazu. Była to Misya z początku fatalna: deszcz lał ustawicznie, rzeki wezbrały, cała okolica zamieniła się w jezioro błotniste, nie można było zgromadzić ludzi, — a jednak Bóg odmienił wszystko, bo i deszcze ustały, drogi obeschły i tylu prosiło o spowiedź św., żeśmy zaledwie jedną tylko część wyspowiadać zdołali. Urzędnicy, kupcy wszyscy obywatele pojednali się z Bogiem.

Następna Misya miała być w Curral dos Bois. Po dwóch dniach konnej jazdy przybylismy tu, dotąd zrobiliśmy 172 km. drogi. Była to podróż bardzo uciążliwa. Zaraz po Mszy św. o godz. 4 wsiedliśmy na konie i tylko po jednogodzinnym wypoczynku w południe jechaliśmy bez przerwy aż w późną noc. Przybywamy wieczorem do ubogiej chaty, gospodarz przyjął nas serdecznie, ale ponieważ żył w konkubinacie i mimo naszych perswazyj przy swojem obstawał, nie było innej rady jak tylko gdzieindziej noclegu sobie poszukać. Błądząc w ciemnościach nocy, znaleźliśmy wreszcie schronienie w chrześcijańskiej chacie, ale i tu nie spoczęliśmy odrazu, bo jednego z nas zawołano do umierającej kobiety. Nazajutrz puszczamy się w dalszą drogę, cudem tylko stanęliśmy u celu drogi naszej. Muł bowiem, na którym jechałem, potknął się, runął na ziemię, ja wraz z nim, skończyło się na potłuczeniu i kilku guzach.

Trudno opisać wszystkie przygody i trudy naszych podróż misyjnych, trzeba się wyrzec wszelkich wygód na kilka miesięcy, nigdzie nie dostaje się ani chleba i wina, upały straszne, słońce pali nieznośnie, drobny pył dostaje się do uszu, oczu i gardła i nieustanny wywołuje kaszel. Przy łasce Bożej pokonaliśmy jednak wszystkie trudności i do domu szczęśliwie powrócili. Ażeby odprawić tych 15 Misyj, zrobiliśmy koleją 675 km. a na koniu 1.248 km.; wyspowiadaliśmy do 22.000. Szkoda wielka, że dom misyjny w Bahia ma tylko 2 Misyonarzy. Oby Pan Bóg wziął w Swą opiekę Misyę w Brazylii i tu dotąd cały szereg pomocników nam przysłał. *X. Rocha.*

KRONIKA.

Kraków. Kleparz. Konfrater naszego Domu X. P. Waszke udzielił w przeszłym kwartale rekolekcyj Dzieciom Maryi w Chełmnie i Lubawie. Stowarzyszenia te są tam pod umiejętną ręką Sióstr Miłosierdzia prowadzone i szczęśliwie się rozwijają. W pierwszych rekolekcyach wzięło udział przeszło 500 Dzieci Maryi, w drugich blisko 300.

Stradom. Po ukończeniu studyów w uroczystość św. Piotra i Pawła 29. czerwca, urządzili nasi klerycy wieczorek na cześć Ojca świętego, na który przybyli profesorowie świeccy i inni goście sąsiedzi i Konfratrzy krakowscy. Nasza orkiestra odegrała kilka pięknych utworów, były różne śpiewy i deklamacye.

Inną jeszcze radość mieliśmy w tym czasie z powodu święceń kapłańskich, jakie z rąk J. E. kardynała Puzyny otrzymali nasi dyakonowie. W tym roku dnia 6 lipca w katedrze na Wawelu otrzymali presbyterat: Jan Osadnik, Jan Rzymełka, Jan Kominek, Jan Weissmann, Józef Sowiński, Jan Zygmunt, Andrzej Masny.

Dnia zaś 20 września wyświęcił na kapłana Najprzew. X. biskup Nowak w naszym kościele X. M. Słupińskiego.

Zaznaczyć również wypada zmianę w tym roku zaprowadzoną, mianowicie przeniesienie części kleryków i części Małego seminaryum na Kleparz.

Sarnki. Konfratrzy tego domu z radością powitali zamiar S. Przełożonej Domu w Rohatynie urządzenia rekolekcyj Dzieciom Maryi.

Wyznaczony w tym celu X. J. Kryska przez trzy dni wygłaszał tam odpowiednie nauki, na które licznie schodziły się tamtejsze Dzieci Maryi, a w rekolekcyach tych brał również udział zakład wychowawczy Sióstr Miłosierdzia, dzieci, mające przystąpić do pierwszej Komunii i wiele osób z miasta. Wspólna Komunia odbyła się w kościele parafialnym.

Francya, Paryż. W tym roku odbył się w Paryżu Konwent generalny, z rzędu dwudziesty szósty. Zjechali się z tej okazyi wizytatorzy i delegaci ze wszystkich części świata, z każdej prowincyi, których jest trzydzieści. Ogółem było wszystkich deputowanych z Ojcem Generałem Fiat na czele 93. Brakowało niektórych delegatów z przyczyny choroby i zamieszek wojennych. Między deputowanymi było czterech naszych biskupów. Dnia 27 lipca po nabożeństwie popołudniowem zebrał się konwent, gdzie zaraz dokonano wyboru sekretarza i asystenta konwentu. Nazajutrz, 28 lipca obrano wielką komisyę konwentu, składającą się z sześciu członków· Podczas pauzy jednodniowej, 29 lipca odbyło się wspaniałe nabożeństwo za zmarłego kardynała X. Ledóchowskiego, dawnego prefekta rozkrzewienia wiary. Wziął w niem udział cały konwent z O. Generałem na czele, wraz z biskupami konfratrami. Była to rzewna i zarazem podniosła chwila dla serca Polaka, gdy dzwony paryzkie ogłaszały światu smutną wieść o śmierci tak zasłużonego wielkiego dostojnika kościelnego, Polaka, a całe rzec można Zgromadzenie XX. Misyonarzy w osobie swych przedstawicieli uczciło swemi modłami jego pamięć i wielkie zasługi dla dobra kościoła poniesione.

30 lipca zatwierdzono dwóch asystentów substytutów, a mianowicie obrano X. Meugniot'a asystentem na miejsce zmarłego X. Chevallier i X. Tasso na miejsce X. Stella, który z powodu wieku i choroby dobrowolnie z tej godności zrezygnował.

Następnie brano pod rozwagę różne propozycye przedłożone i sesye odbywały się rano i popołudniu. Cztery komisye mniejsze, wybrane przez O. Generała, pracowały w wol-

nych chwilach osobno i owoc swych narad przedkładały „Wielkiej Komisyi“, składającej się z 6 członków, z O. Generałem na czele. W ten sposób odbywały się sesye konwentu aż do 3 września, którego to dnia w niedzielę wieczorem skończył się konwent. Przedtem jeszcze zredagowano dziękczynny adres do Ojca św. Leona XIII., w którym całe Zgromadzenie przez swych przedstawicieli składa Ojcu św. swe życzenia z okazyi rozpoczęcia 25-letniego pontyfikatu, dziękuje za wspaniałe encykliki papieskie i ponawia swą wierność i przywiązanie do Stolicy papieskiej. Wszyscy obecni deputowani podpisali się na tym adresie.

Odmówieniem modlitw i odśpiewaniem „Te Deum“ zakończył się konwent generalny. Polską prowincyę krakowską reprezentowali tym razem trzej sami Polacy: X. Wizytator Kiedrowski, XX. Superyorzy Lewandowski i Słomiński.

W ostatnim numerze Roczników podaliśmy tekst adresu, jaki przew. O. Generał wysłał do Ojca świętego, Leona XIII. z okazyi jubileuszu 25-letniego papiestwa. Nie poprzestał jednak przew. O. Generał na tem, ale chciał jeszcze wyraźniej zaznaczyć cześć i przywiązanie, jakie żywi dla Stolicy św. Piotra i dlatego osobiście w towarzystwie X. asystenta Tasso wybrał się w podróż do Rzymu, ażeby w swojem imieniu oraz imieniem całego Zgromadzenia złożyć Namiestnikowi Chrystusa należne homagium. Ojciec św. przyjął też z prawdziwem wzruszeniem złożony mu hołd od rodzin św. Wincentego. Wyraził przy tej okazyi zupełne zadowolenie z prac Misyonarzy oraz Sióstr Miłosierdzia, udzielił łaskawie dla wszystkich Swego apostolskiego błogosławieństwa.

Skończyły się 3 lata, jak przew. Matka Generalna SS. Miłosierdzia Marya Kieffer objęła Zarząd Zgromadzenia SS. Miłosierdzia. Przymioty jednak w rządzeniu, którymi jednała sobie serce wszystkich, spowodowały, że została powtórnie wybrana matką Generalną na dalsze trzechlecie dnia 19 maja bież. roku. Asystentką Zgromadzenia wybraną została Siostra Royer, przełożona w szpitalu powszechnym w Donai.

La Rochelle. Tygodnik *Semaine Religieuse* notuje uznanie, jakie Ojciec św. Leon XIII. wyraził wobec X. biskupa Camus w La Rochelle, dla pracy konfratrów naszych, profesorów w seminaryum biskupiem.

Czytamy tam: „Bogu Najwyższemu niech będą dzięki! Powiedz X. biskup synom św. Wincentego, że z całą przyjemnością słucham o wielkich skutkach ich pracy w seminaryum; idą oni wiernie śladami swego świętego założyciela. Powiedz X. biskup uczniom, że błogosławię im z całego serca. Chciałbym, ażeby wszyscy o tem wiedzieli, że nauka katolicka, prowadzona tak mądrze we waszem seminaryum, jest naszą nadzieją, jest chlubą i tryumfem Kościoła św.“

Cambrai. Zamieszczamy tu list J. Em. Kardynnała Rampolli do X. superyora w seminaryum, który jest odpowiedzią na adres wraz ze świętopietrzem 1.500 franków, wysłanych Ojcu św. przez alumnów seminaryum.

Przewielebny księże! Dowody czci i przywiązania, jakie alumni seminaryum w Cambrai okazali jego Świątobliwości z okazyi jubileuszu Jego pontyfikatu, sprawiły Mu prawdziwą przyjemność. Z dumą Leon XIII. patrzy w duchu na tych młodych lewitów, nadzieję Kościoła św., jak łączą swoje siły duchowne, a nawet zasoby materyalne dzielą ze Zastępcą Chrystusowym.

Ojciec św. każe wyrazić szczególne uznanie dla synów św. Wincentego; ich to bowiem mądremu prowadzeniu przypisać należy rozwój szczęśliwy seminaryum. Ze szczególną też miłością udziela i dyrektorom seminaryum i uczniom swego apostolskiego błogosławieństwa. Donosząc o tem Waszej przewielebności, łączę wyrazy mego poważania.

M. Kardynał Rampolla.

NEKROLOGIA.

Ś. p. X. Wilhelm Müngersdorf. Dnia 18 maja b. r. umarł w Gracu X. Müngersdorf, Wizytator prowincyi austryackiej XX. Misyonarzy oraz Dyrektor Sióstr Miłosierdzia. To co zdziałał ś. p. X. Wizytator Müngersdorf dla sobie powierzonej prowincyi, a zdziałał niezaprzeczenie bardzo wiele, było owocem jego głębokiej wiary, z którą zabierał się do każdego dzieła, oraz ducha posłuszeństwa dla wyższych przełożonych Zgromadzenia.

Ś. p. X. Müngersdorf odznaczał się rzadką na swój późny wiek aktywnością. Jako kapłan-jubilat w ustawicznym był ruchu aż do samej prawie śmierci; bo oto cztery dni przed śmiercią, dnia 14 maja przybył z wizyty domów jeszcze zdrów i wesoły, ale w kilka godzin po podróży uczuł straszną febrę, tak, że musiał położyć się do łóżka. Lekarz wezwany skonstatował zapalenie płuc. Następnego dnia chory, pomimo, że choroba miała normalny przebieg, prosił o św. Sakramenta. Tymczasem dnia następnego choroba przybrała groźny charakter i przyprawiła chorego o utratę przytomności. Chwilami tylko przytomny, prosił jeszcze o Komunię św., a potem już stale do śmierci pogrążony w głębokim śnie, kiedy udar sercowy ostatecznie przeciął pasmo jego dni.

Ś. p. X. Müngersdorf urodził się w Kolonii dnia 22 lutego 1822 r., z rodziny szczerze katolickiej. Miał pięciu braci i kilka sióstr; z tych jedna jeszcze żyje w zakonie św. Franciszka w Akwizgranie. Ojciec prowadził dzieci swoje surowo i ten też charakter widzieć można było przez całe życie w ś. p. X. Müngersdorfie. Nauki gimnazyalne i semi-

naryum duchowne ukończył z dobrym postępem i dnia 30 sierpnia 1846 r. otrzymał w Kolonii święcenia kapłańskie. Przez trzy lata był nasamprzód wikarym w Akwizgranie. W r. 1850 dnia 28 maja wstąpił do Zgromadzenia Misyi i przez 16 lat z górą poświęcał się z zapałem pracy na misyach. Potem został nominowany wizytatorem pruskiej prowincyi Zgromadzenia już nieistniejącej, w roku zaś 1865 mianowany wizytatorem prowincyi austryackiej. W tym roku prowincya austryacka liczyła zaledwie 4 domy Misyonarzy, 26 domów Sióstr Miłosierdzia i 300 Sióstr. Aż do jego śmierci liczba domów XX. Misyonarzy wzrosła do 14; liczba domów Sióstr Miłosierdzia do 220, Sióstr samych w prowincyi austryackiej jest obecnie 2.500. W odwiedzaniu domów prowincyi był nieznużony. Dla oszczędzenia sobie drogiego czasu podróżował prawie wyłącznie nocą. W rządach jego podziwiać trzeba było przezorność, pilność i stałość ducha, a obok tego dla wszystkich, zwłaszcza dla ubogich i chorych dziwną łagodność i dobroć. Nikt nie zliczyłby jałmużn, jakie rozdał na ubogich. Okazywał szczególną dobroć dzieciom; co rok na Boże Narodzenie rozdawał osobiście dla kilkaset dzieci obrazki i inne podarunki. W największych doświadczeniach pokazywał zawsze spokojne zdanie się na Opatrzność Boską i nigdy się nie zawodził. Całe życie jego cechowało zaparcie siebie oraz świata, szukał zaś jedynie chwały Bożej.

Jak całe życie, tak i pogrzeb ś. p. X. Müngersdorfa był skromny. Wielkie tylko tłumy zebrały się, zwłaszcza ubogich, ażeby dowieść swojej dla zmarłego wdzięczności. Przedewszystkiem zaś licznie zebrały się na pogrzeb Siostry Miłosierdzia, niektóre z nich przybyły nawet z bardzo daleka. Po odśpiewaniu officium przez kler, X. Biskup miejscowy odprawił mszę św. i on także odprowadził ciało zmarłego do podziemia w kościele Sióstr Miłosierdzia na wieczny spoczynek.

Ś. p. XX. biskupi Piotr Schumacher i Bernard Thiel. Oto, co pisze *Przegląd Katolicki* o naszych dwóch zmarłych niedawno biskupach:

Dwóch znakomitych biskupów w Ameryce hiszpańskiej skończyło przedwcześnie żywot prawdziwie apostolski, pełen cnoty, zasług, poświęceń i prześladowań. Obaj byli przybranymi synami swej ojczyzny. Niemcy z pochodzenia, przynieśli do swego dalekiego pola pracy niemiecką energię i wytrwałość, ale duch prawdziwie katolicki umiał te przymioty podnieść jeszcze miłością i pokorą. Obaj członkowie Zgromadzenia Misyonarzy (Lazarystów), mieli prawie identyczne losy, z tą różnicą, że jeden na wygnaniu przepędził wielką część episkopatu, ale wrócił przed śmiercią do swej owczarni, drugi zmarł na wygnaniu. Tym ostatnim był X. Piotr Schumacher, Biskup z Porto-Viejo, w Rzeczypospolitej Ekwadoru. Od 18-go roku życia Lazarysta, był przez lat osiem już Misyonarzem w Chili, nim go przełożeni posłali do Quito. Było to w roku 1872. Nieśmiertelny Garcia-Moreno, objąwszy rządy, wyjednał u Stolicy św. rozwiązanie wszystkich klasztorów, które nie były podatne do zreformowania, i na miejsce wypędzonych zakonników sprowadził cały zastęp świeżych sił zakonnych z Europy. Zaczynający się w Prusiech i wciąż jeszcze trwający we Włoszech i Hiszpanii „Kulturkampf" zmuszał mnóstwo zakonników do emigracyi i ułatwiał werbunek świątobliwemu prezydentowi. Jezuici otworzyli szkoły wyższe, Bracia Szkolni — ludowe; Misyonarzom oddano seminarya. Ale w kraju, pozbawionym przez długie lata życia kościelnego i dobrego kleru, trzeba było wszystko stwarzać. X. Schumacher wybudował dwa seminarya, mniejsze i większe, a z ostatniego wyszło całe pokolenie zacnych i gorliwych kapłanów, którzy później w czasie prześladowań umieli stawiać czoło wrogom Chrystusa i iść na męczeństwo. W r. 1885 został nasz Misyonarz biskupem, utworzonej niedawno, bo w r. 1871, misyjnej dyecezyi Porto-Viejo w prowincyi Manali. Były to olbrzymie obszary, pokryte przeważnie lasami dziewiczemi, zamieszkałe przez dzikich Indyan pogańskich obok nielicznych chrześcijan. Nowy biskup rozwinął energiczną działalność misyjną, budował kaplice i stacye dla Misyonarzy, tworzył szkoły, spro-

wadzał zakonnice. Praca jego zaczynała wydawać piękne owoce, kiedy wybuchło krwawe prześladowanie katolików, rozniecone przez tyrana Alfara. Biskup musiał wraz z księżmi uciekać w głąb lasów niedostępnych i latami ukrywać się wśród Indyan koczujących; później, gdy położenie nie poprawiało się, a *modus vivendi*, zawarte z Rzymem, nie zdołało zapewnić powrotu wygnanym biskupom i zakonnikom, X. Schumacher przeniósł się do Kolumbii i tam w okolicach, pozbawionych kapłanów, pracował przez siedem lat jak prosty Misyonarz, nie mogąc tego uczynić dla swej opuszczonej dyecezyi. Umarł w Lamaniego, zostawiając w nieszczęsnej dyecezyi swojej, na 78.000 katolików i mnóstwo pogan, którym dawniej głoszono Ewangelię — trzech księży i tyleż zakonnic. Spodziewajmy się, że modlitwy biskupa-wyznawcy będą miały więcej mocy po śmierci niż za życia, i wyproszą katolikom z dyecezyi Porto-Viejo i wogóle z Equadoru lepsze czasy.

Biskup z Costa-Rica, Bernard Thiel, był o 10 lat młodszy od swego towarzysza w zakonie i episkopacie, a pochodził, jak i on, z archidyecezyi kolońskiej; jak on, pracował także w Ekwadorze po wypędzeniu Misyonarzy z Niemiec, nim go wysłano na założenie nowego kolegium Zgromadzenia w San-Jose, państwowej i kościelnej stolicy Rzeczypospolitej Costa-Rica. Jako przełożony domu zakonnego i seminaryum dyecezyalnego, zyskał powszechną cześć i zwrócił na siebie uwagę rządu, będącego wówczas w ręku konserwatystów. Od r. 1871 przez całych 9 lat stolica biskupia była nieobsadzona — po części z powodu intryg kompetentów o nią, po części dla tego, że i wśród kompetentów, i wśród całego kleru dyecezyalnego nie było odpowiednich kandydatów na godność biskupią, bo nie było wogóle uczciwych księży. Wskutek tego wybór prezydenta Garcia padł na młodego, bo zaledwie 30-letniego Misyonarza, który w r. 1880 otrzymał święcenia biskupie, i rozpoczął odrazu pracę pełną zapału i poświęcenia. Ale już w cztery lata potem wybuchła rewolucya i przywiodła do steru masoneryę.

Wedle zwykłej recepty usunięto religię ze szkół i wypędzono Jezuitów, a że biskup przeciw jednemu i drugiemu protestował, wygnano biskupa. Z 14 Jezuitami uszedł X. Thiel za granicę, a po podróży do Europy, rządził zdala prześladowaną dyecezyą, nim nowy przewrót nie otworzył mu jej granic. Odtąd już nieopuszczał Costa-Rici. Mąż czynu, oddał się cały na usługi swego Kościoła. Przedewszystkiem zajął się wychowaniem kleru, którego prawie nie było w dyecezyi, i dzięki niezmordowanej pracy, oba seminarya jego stały się wzorem dla całej Ameryki środkowej; większe z nich w r. 1895 liczyło 20-tu alumnów, mniejsze 160 i 12 profesorów. Niezmordowany przykład biskupi wpływał na duchowieństwo parafialne, które wkrótce pozbyło się w części przynajmniej haniebnych nałogów i przestało siać zgorszenie, a dzięki licznym kapłanom, sprowadzonym z Europy, zaczęło spełniać coraz gorliwiej swe obowiązki. Rekolekcye i misye ludowe rozbudziły ducha wiary w ludzie, a gorliwość w klerze. Szczególniej jednak leżały biskupowi na sercu misye wśród Indyan, stanowiących większą część mieszkańców kraju. Za hiszpańskich czasów kwitnęły tu misye Franciszkanów, po oderwaniu od Hiszpanii zaniedbane zupełnie. Ludność, przedtem chrześcijańska, zdziczała i wpadła w pogaństwo, z którego zaczyna się podnosić dzięki staraniom zmarłego biskupa. W głąb niedostępnych i prawie nieznanych prowincyj Talamanca, Boruca, Chiripo, Terrala i Guatuso, odbył X. Thiel niemniej niż 13 wielkich podróży wynalazczych, które zarówno tak pod względem misyjnym jak i dla nauki przyniosły obfite owoce. Z pomocą rządu założył liczne stacye misyjne, kaplice i szkółki, otwierając dla cywilizacyi te dzikie całkiem ziemie, a równocześnie odkrywając i badając naukowo wysokiej wartości wykopaliska i ruiny miast historycznych, odszukane w gąszczach dziewiczych lasów. W znacznej części z tych naukowych plonów wędrówek apostolskich powstało muzeum etnograficzno-przyrodnicze w seminaryum, najbogatsze w całej Ameryce środkowej. I piórem biskup z Costa-Rica pracował wiele. Cały szereg dzieł, wy-

soko cenionych w świecie naukowym, pozostaje po nim, jako owoc jego studyów na polu indyjskiej lingwistyki, etnografii i historyi, a prace te już zyskały były sobie uznanie, skoro *Sociedad de Estudios Americanistas* wybrała go na dożywotniego swego prezesa. W zakresie literatury religijnej był on również czynny, zwłaszcza jako tłómacz katechizmu Deharba.

Nie dziw, że śmierć jego uznano za klęskę publiczną. Kongres uchwalił na pięć dni żałobę narodową i zniżenie na pół masztu flagi państwowej na wszystkich budynkach publicznych. Za pogrzebem szły wszystkie władze z prezydentem na czele, namiestnicy i reprezentacye wszystkich prowincyj, ciało prawodawcze i uniwersytet *in corpore*. Pamięć zacnego pasterza pozostanie nazawsze błogosławioną w jego przybranej ojczyźnie.

ZMARLI:

Kleryk Dawid O'lhanghsnerry, 23 maja 1902, w Perryville (prow. Stanów Zjednoczonych), żył lat 22, w Zgrom. 4.

X. Piotr Sainz, 8 czerwca, w Harone (Antylle), żył lat 66, w Zgrom. 47.

X. Karol Doherty, 13 czerwca, w Baltimore (Stany Zjednoczone), żył lat 25, w Zgrom. 8.

X. Ambroży Portes, w czerwcu, w Chonei Theon (Chiny), żył lat 63, w Zgrom. 43.

X. Wilhelm Gavin, 3 lipca, w Phibsborough (Irlandya), żył lat 64, w Zgrom. 39.

Kleryk Józef Lizarribar, 6 lipca, w Madrycie (Hiszpania), żył lat 19, w Zgrom. 3.

Kleryk Jerzy Elaniaga, 11 lipca, w Madrycie, (Hiszpania), żył lat 20, w Zgrom. 4

X. Ludwik Pochan, w lipcu, w Chinach, żył lat 38, w Zgrom. 4.

X. Biskup Schumacher, 15 lipca, w Equadorze (Ameryka), żył lat 63, w Zgrom. 45.

X. Ryszard Albert, 27 lipca, w Baltimore (Stany Zjedn.), żył lat 43, w Zgrom. 26.

Brat Paweł Pla, 3 sierpnia, w Dax (Aquit.), żył lat 59, w Zgrom. 34.

X. Piotr Noisin, 4 sierpnia, w Montpellier (Prowancya), żył lat 34, w Zgrom. 4.

X. Leon Marion, w sierpniu, w Szanghai (Chiny), żył lat 38, w Zgrom. 15.

X. Karol Remillan, 6 sierpnia, w Nowym Orleanie (Stany Zjedn.), żył lat 53, w Zgrom. 30.

X. Antoni Kowalik, 9 sierpnia, w Cilly (Austrya), żył lat 68, w Zgrom. 47.

X. Kazimierz Hypert, 9 sierpnia, w Monastyrze (prow. Konstantynopolu), żył lat 66, w Zgrom. 45.

X. Ferdynand Meister, w sierpniu, w San Juan de Cuyo (prow. Argentyny), żył lat 70, w Zgrom. 42.

X. Ludwik Koppy, 16 sierpnia, w Gracu (Austrya), żył lat 69, w Zgrom. 49.

Brat Lambert Amand, w sierpniu, w Syryi (Akbes), żył lat 72, w Zgrom. 47.

R. I. P.

Dobre książki do nabycia u XX. Misyonarzy.

1) X. K. Gawroński: **Jasny i gruntowny wykład nauki Kościoła św.**, opr. 2·50 Kor. (Mk.).
2) Tegoż: **Historya św.**, 2 tomy razem opr. 2·80 Kor. (Mk.).
3) X. Ludwik z Grenady: **Przewodnik grzeszników**, opr. 3·20 Kor. (Mk.).
4) X. Mioduszewski: **Śpiewnik kościelny** ze wszystkimi dodatk. 8 K. (Mk.).
5) Tegoż: **Kantyczka** 1·10 Kor. (Mk.).
6) **Pastorałki i kolędy** z nutami, opr. 2 Kor. (Mk.).
7) **Wiadomość o 3 Szkaplerzach** i krótkie nabożeństwo 20 hal. (fen.).
8) **Nowenna za dusze w Czyścu** 30 hal. (fen.)
9) **Officium za zmarłych** 20 hal. (fen.)
10) **Opis koronki za zmarłych** 10 hal. (fen.).
11) **O naśladowaniu J. Chrystusa**, br. 1 Kor. (Mk.), opr. 1·50 Kor. (Mk.).
12) **O naśladowaniu Najśw. P. M.**, opr. 60 hal. (fen.).
13) **Nowenna do św. Wincentego à Paulo** 30 hal. (fen.).
14) **Maksymy św. Wincentego na każdy dzień roku** 30 hal. (fen.)
15) **Nowenna do św. Tekli** 30 h. (fen.).
16) **Adoracye N. Sakr.** opr. 1 Kor. (Mk.).
17) **Nowenny do Najśw. Panny M.**, opr. 1 Kor. (Mk.).
18) S. Kat. Emmerich: **Bolesna Męka Zbawiciela naszego** 1 Kor. (Mk.), opr. 1·50 Kor. (Mk.).
19) Tejże: **Życie Najśw. Panny**, opr. 1 Kor. (Mk.).
20) **O Dzieciątku Jezus w Pradze** 20 hal. (fen.)
21) **O jedności Kościoła** 2 Kor. (Mk.).
22) **Pacierz codzienny** 10 h. (fen.).
23) **Zegarek Męki Pańskiej** 10 hal. (fen.).
24) **Ofiarowanie Męki Pańskiej za zmarłych** 10 hal. (fen.).
25) **Śpiewniczek** mniejszy 60 hal. (fen.).
26) „ większy 1 Kor. (Mk.).
27) X. Dr. Collet: **Rozmyślania rekolekcyjne**, opr. 1·40 Kor. (fen.).

28) **Pamiątka rekolekcyi** większa opr. 30 hal. (fen.).
29) „ „ mniejsza 10 hal. (fen.).
30) **Dusza przy żłóbku Chrystusa**, br. 30 hal. (fen.), opr. 40 hal. (fen.).
31) **Skarb ukryty**, opr. 80 hal. (fen.).
32) **Manualik Dzieci Maryi** po 1·60, 2 i 3 Kor. (Mk.).
33) Św. Franciszek Sal.: **Droga do życia pob.**, br. 1 K. (M.), opr. 1·50 K. (M.).
34) **Błog. Franciszek Reg. Klet** 1 Kor. (Mk.)
35) **Obrazki** z życiorysem tegoż 100 3 K. (Mk.).
36) **Żywot św. Jana Kantego**, opr. 1 Kor. (Mk.).
37) Miesiące: **Styczeń**, 38) **Marzec**, 39) **Czerwiec**, 40) **Październik**, opr. po 1 Kor. (Mk.). 41) **Maj** 80 hal. (fen.).
42) **Nabożeństwo do Niep. Serca Maryi**, br. 30, opr. 40 hal. (fen.).
43) **Książeczka misyjna** 1 Kor. (Mk.).
44) **Książki do nab. z odpustami** po 1·60, 2 i 3 Kor. (Mk.).
45) **O medalu św. Benedykta** 10 h. (fen.).
46) **Listki kółek żywego różańca** po 20 hal. (fen.).
47) **Cantionale Ecclesiasticum**, opr. 5 Kor.
48) **Rituale Sacramentorum** 7 Kor.
49) **Konferencye** X. F. Gawrońskiego 2·50 Kor.
50) **Nieszpory łać.** i polskie 100 sztuk 7 K. (Mk.)
51) **Obrazy N. Oblicza P. J.** na płótnie większe i mniejsze, **Dzwonki Loretańskie i Okowy św. Piotra.**
52) **Nowa pieśń o N. P. Lourdeńskiej**, z melodyą 10 hal. (fen.).

W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.